



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przesyłając należyłość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelnia ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

**Treść Numeru.** Przyczynki do historii i literatury oryginalne i tłumaczone przez Michała Gliszczyńskiego. — Urywki z podróży po Styrii przez Tadeusza Jerzego Steckiego. — Widzenia. Fantazja Jana Turgeniewa. — Korespondencja ze Lwowa. — Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską. — Przytym dodatek z drzeworytami.

## PRZYZCYNKI

### DO HISTORJI I LITERATURY

ORYGINALNE I TŁUMACZONE

PRZEZ

Michała Gliszczyńskiego.

(Dokończenie).

Przez resztę panowania Ludwika XIII i podczas regencji Anny Austriaczki i jej kochanka kardynała Mazariniego, Alzacja była zupełnie szczęśliwą a Strasburg swobodny, bo nie nastawiano na jego prawa i odrębność. Trzeba jednak wyznać, że rządy francuzcy i dowódcy wojsk w Alzacji popełniali różne małe nadużycia na właścicielach ziemskich, ale Strasburg umiał zręcznie usuwać się i wywijać od nowych zmian, wprowadzanych przez rząd francuzki na to, żeby zlać w jedno z Francją tę nowo nabytą krainę. Jest to konieczność rzeczy ludzkich tam, gdzie państwo z różnolitych zlepione jest pierwiastków.

Ala kiedy elegancki despota Ludwik XIV doszedł do pełnoletności, rzeczy w Alzacji inny obrót wzięły. Ludwik XIV uczczony niesłusznie nazwiskiem Wielkiego, był tylko wielką osobliwością, ale nie wielkim monarchą. Nie miał on wcale na widoku szczęścia Francji, ale tylko swoją osobistą chwałę i potęgę, dla której wszystko poświęcał, nie domyślając się zapewne, że zaczął kopać przepaść w którą kiedyś runąć miała monarchja Burbonów. Miał on trzy główne zadania przed sobą: poobsadzać europejskie trony Burbonami, a postrzącać z nich Habsburgów; przyłączać lub zaleźnami uczynić od swojej woli jak najwięcej krajów, i stworzyć bałwochwalczą etykietę na swoim dworze. Pierwsze dwa zadania mało mu się powiodły, ostatnie za to przepysśnie rozwinął i został Wielkim.

Chcąc Habsburgów upokorzyć, nadsca całą Europą przewodzić i wszystko albo wciągnąć w swoje państwo, albo holdownikami uczynić, ustanowił owe głośne *Komisje Przyłączeń* w Metz, Breisack, Besançon i Tournay, które wyłącznie tem się zajmowały żeby wykryć, co kiedy należało do świeżo przyłączonych do Francji prowincji, żeby i to dla Francji odzyskać. Ztąd ciągle wojny, ogromna chwała, ale wielkie zniszczenie Francji przez wielkie koszty, czego najlepiej dowodzi dług przez Ludwika XIV

swojemu krajowi zostawiony, a wynoszący dwa i pół miliarda franków.

Łatwo było przewidzieć, że obok takiego sąsiada szczupaka, mała rzeczpospolita miejska nie utrzyma się długo. Strasburg czuł dobrze swoją przyszłość i jak mógł bronił się od niej; nie dla tego żeby mu żal było cesarskiej ojczyzny, ale dla tego, że mu bardzo dobrze było ze swojemi urządzeniami. Groźna ta przyszłość zaczęła się pomału pokazywać. Na przykład r. 1665 magistrat Strasburga odebrał od Ludwika XIV rozkazującą prozbę, żeby mu wydał znaczną liczbę armat, bo ich nie potrzebuje będąc w najlepszych stosunkach z francuzkim królem, który potrafił go od innych nieprzyjaciół obronić. Magistrat odmówił, ale wyraźnie widział, że tu szło o rozbrojenie miasta i że w Paryżu Strasburg bardzo się podoba, jako bogate i ludne miasto, jako pierwszorzędną forteca, a bardzo się niepodoba jako wolna rzeczpospolita w bezpośrednich stosunkach z Niemcami będąca.

Jeszcze wyraźniej wyszły na jaw zamiary dumnego władcy, kiedy w roku 1672, Francuzi zniszczyli w nocy 14 Listopada kilka arkad strasburgskiego mostu na Renie, żeby nie puścić do Alzacji niemieckich wojsk. Na odezwę magistratu odpowiedział Ludwik XIV, że się to stało bez jego wiedzy, ale zniszczonych arkad nie pozwolił odbudować. Coraz bardziej nieprzyjemne kroki Francji względem wolnego miasta spowodowały to, że magistrat wysłał do Wiednia syndyka Joachima Franza z tem poleceniem, żeby przedstawił cesarzowi i jego ministrom, że jeżeli przedkich i stanowczych nie obmyśli przeciwko temu środków, to wolne, cesarskie miasto Strasburg, stanie się wkrótce zdobyczą Ludwika XIV. Ale ci najmniejszego nie zrobili kroku w tym kierunku, tyle tylko Franz na drugi rok sprawił, że posłano Strasburgowi mało znaczącą sumę, co znaczyło tyle co nic. Ciekawa to bardzo rzecz, dla czego *Komisja Przyłączeń* w Breisack przyznawszy arcy-chrześcijańskiemu królowi wszystkie ziemie i prawa małej rzeczpospolitej, należące do niej w Alzacji, nie przyznała jednak Francji samego Strasburga? Oczywiście nie mogła wynaleźć najmniejszego pozoru do oderwania go od cesarstwa niemieckiego, bo Strasburg nie zależał w niczem od landgrafstwa alzackiego, a należał wprost do wielkiej ligi wolnych cesarskich miast w całym świętem państwie.

Magistrat zaniósł znowu skargę do króla, że na prawa i na wolności miasta komisja nastawa, za co od Ludwika XIV otrzymał taką odpowiedź, że i miasto Strasburg będzie musiało wykonać mu przysięgę na wierność. Dodano wprawdzie w tej odpowiedzi,

że przysięga ta rozumie się tylko co do posiadłości miasta w Alzacji, ale ono samo zostaje wolnem i bezpośrednio niemieckiem. Jeżeli tego nie zrobi dobrowolnie, to będzie zmuszone orężem. Po tem wszystkiem naturalnie na rozkaz samego króla, komisja w Breisack uznawszy wprzód Strasburg za miasto wolne, ułożyła drugi dokument i wyrzekła drugi wyrok: że i miasto Strasburg powinno być *napowrót* do Francji przyłączone.

Przyłączenie to bardzo ładnie się udało, dzięki śmiałości zdradzie i przekupstwu Strasburgskiego biskupa i większości samego magistratu.

Na stolicy biskupiej siedział wtedy książę Franciszek Egon Fürstenberg, najstarszy z trzech braci, a wszyscy zgubny wpływ wywarli na losy Niemiec w drugiej połowie XVII wieku. Rodzina ta jest jakby przeklętą w rocznikach niemieckich za to, że się sprzedawała zupełnie Ludwikowi XIV i wszystko na korzyść Francji wykrcęła. Jak Franciszek Egon, tak i dwaj młodszy bracia, Wilhelm Egon, długo potężny minister, koadjutor kolońskiego kurfirsta i Hermann Egon niemniej znakomity wielkoradca Maksymiliana, kurfirsta bawarskiego, byli ludzie zdolni, śmiali i na wszystko gotowi, bo chcieli bogactw i honorów. Ponieważ dwór wiedeński popełnił wielki błąd i długo ociągał się z wyniesieniem Fürstenbergów do godności książąt świętego państwa rzymskiego, na co rzeczywiście zasługiwał przez usługi oddane Habsburgom, zatem trzej bracia z niecierpliwością taką obojętnością i nie spodziewając już niczego od Habsburgów, rzucili się w objęcia Ludwika XIV, i zostali giętymi narzędziami, wiernymi agentami i niebezpiecznymi szpiegami arcy-chrześcijańskiego monarchy. Ponieważ ciągle i znaczne summy od Ludwika XIV wyciągali, to też zwykł był on nazywać ich swoimi *bardzo drogimi* przyjaciółmi (1).

Franciszek Egon miał trzy ulubione życzenia: na-przód gorąco pragnął zostać koadjutorem kolońskiego kurfirsta, z prawem następstwa po jego śmierci. Od roku 1672 rozpoczął w tym celu liczne i zręczne zabiegi, które się jednak ciągle o dwie przeszkody rozbiły. Koloński kurfirst, Maksymilian Henryk zarazem biskup w Liège i Hildesheim, człowiek niezmiernie ograniczony i zabobonny, przywidział sobie że umrze natychmiast jak tylko przybierze sobie

<sup>1)</sup> Opowieść później ciekawy i zajmujący wypadek z życia Wilhelma Egona Fürstenberga. Dwór Wiedeński udzielił im wprawdzie tytuł książęcy 1664 r. ale nie mógł już wyrwać ich ze szponów Ludwika XIV.



koadjutora. Z drugiej strony Filip falegraf von Neuburg, poruszał piekło i niebo żeby koadjutorstwo to dostało się jego synowi, którego silnie popierał cesarz Leopold I, bo mu wcale nieprzyjemnie było widzieć na kolońskiej stolicy Fürstenberga, jawnego stronnika Francji a wroga Habsburgów. Przeszkody były niemałe i tylko taki potentat jak Ludwik XIV mógł je usunąć. Naprzód on tylko mógł skutecznie pomóc kurfirstowi do uspokojenia Liège, które się ciągle przeciw niemu burzyło; on tylko mógł jemu samemu dać 400,000 talarów, które dawno już był winien kurfirstowi i uwolnić go od ciągłej obawy aneksji, które tak lubił król francuzki. Franciszek Egon myślał sobie, że zapłacenie 40,000 talarów i dołączenie do nich drugiej takiej samej summy, cuda zrobi u kolońskiego kurfirsta. Miał słuszną nadzieję. Pieniądze wszędzie i zawsze cuda robią, podobno nawet niebo otwierają. Ale biskup strasburski wiedział dobrze, że Ludwik XIV, wylczywszy mu tak znaczną sumę, darmo tego nie zrobi i zażąda od niego najniższej usługi wydania w jego ręce biskupstwa i miasta Strasburga.

Drugim ulubionym życzeniem Franciszka Egona było to, żeby katedrę Strasburską odebrać protestantom. Kiedy Reforma nastała wnet Strasburg ją przyjął, i piękny tum na kościół protestancki zamienił. Trudno było myśleć o odebraniu katedry, bo większa część kapituły przyjęła nową naukę, a katolicka mniejszość wyniosła się do Zaberu i tam rezydowała.

Trzecie życzenie, a raczej gwałtowna potrzeba skłaniała go ku Ludwikowi XIV; zawsze mu pieniądze brakowało. Mimo wielkie dochody ciągle siedział w długach po uszy. Już mu francuzki król wyznaczył znaczną roczną pensję i kazał mu ją z góry wypłacać, ale mu to nie wystarczało. Dopraszał się więc w Paryżu różnemi drogami o podwyższenie i półroczne zaliczenie.

Głównym jednak działaczem w całej tej sprawie zniesienia wolnej rzeczypospolitej, i wydania Francji Strasburga był Jan Krzysztof Güntzer. Pochodził on z rodziny, która już dosyć dawno osiadła w tem mieście, a należała do biedniejszych. Ojciec jego za wydanie tajemnicy swojego cechu był z niego usunięty, a brat starszy, fałszerz pieniędzy, musiał ze Strasburga uciekać. Schwytyany i prowadzony do więzienia, skończył z mostu w Ren i utonął. Jan znalazł sobie opiekuna w osobie Filipa Bernholda, najwyższego sędziego w Strasburgu, który go swoim kosztem kazał wychować a potem wyrobił mu miejsce w ministerstwie spraw zagranicznych w Paryżu, z warunkiem pilnowania interesów rzeczypospolitej przy rządzie francuzkim. Luvois poznał się przedko na zdolnościach i nie bardzo skrupulatnem sumieniu tego człowieka, i użył go za narzędzie do przeprowadzenia niegodziwych zamysłów, jaki on i jego władca względem stolicy alzackiej ukuli. Güntzer tak się wysoko wsunął w łaski ministra, że go już wtedy powszechnie nazywano *le mignon connu de la France*, największy elegancik we Francji. Wróciwszy do Strasburga mianowany był pierwszym radcą w magistracie, i tak gorliwie zajął się przeprowadzeniem do skutku zamiarów Luvois, że słusznie uważać go można za głównego sprawcę politycznego upadku Strasburga. Przy pomocy 500,000 talarów rozdanych przez Ludwika XIV najwięcej wpływowym członkom magistratu, potrafił przeciągnąć na stronę francuzkiego króla większość rajców, których zwykle bywało aż trzydziestu. Między zapłaconymi najhulajniejszym rolę odegrali naczelnym sędzią Zedlitz i senatorowie Stösser i Obrecht.

O tem przekupstwie wspominają mniej więcej wyraźnie różni autorowie: np. współczesny Puffendorf, Wolter a w życiu Ludwika XIV L'or, l'intrigue, préparèrent son entrée dans Strasburg; les magistrats furent gagnés; a Sismondi (świeżo w swojej Historji Francji: "ce fut Louvois qui corrompit les magistrats de cette republique; ils vendirent la bourgeoisie qui s'était confiée a eux.

W roku 1681 wyprawił Franciszek Egon do Paryża po zniesieniu się z katolickimi członkami kapituły, swojego pełnomocnika barona Jana Wangen, pochodzącego z jednej z najstarszych rodzin w Alzacji, żeby ukończył rozpoczęte pieniędźmi dzieło. Towarzyszyli mu niektórzy członkowie magistratu, których nazwiska do nas nie doszły. Krótki list tego posła pisany z Paryża do Güntzera objaśnia nas, że żądania tego poselstwa były tak ogromne, że Luvois nie sam decydować nie chciał i odniósł się do Ludwika XIV.

Dopiero po długich naradach ze swojemi ministrami, zgodził się król na wszystko i kazał wydać stosowny dyplom z wszystkimi formalnościami. Nie wiemy co się w nim zawierało, bo się spalił (1) ale musiały tam być różne łaski i nagrody, kiedy Franciszek Egon dostał do śmierci ogromną roczną pensję, bo wynosiła 60,000 fr. Że przekupni przeszli na stronę francuzkiego króla, że dostali za to dużo pieniędzy, to było jeszcze niezem prawie. Największa stawiała im na drodze trudność, jakby rozbroić miasto, żeby się zupełnie opierać nie mogło, bo gdyby mu broń zostawiono toby się Strasburg mógł długo trzymać i możeby się był nawet nie dostał Ludwikowi XIV. Chociaż ludzie będący wtedy u steru świętego państwa rzymskiego, byli bardzo nieudolni i ospali, nie mogli jednak obojętnie patrzeć na to, jak Strasburg, ten klucz do Niemiec, przechodził w ręce Francji, najzawziętszej nieprzyjaciółki cesarstwa niemieckiego. Rzeczywiście wysłał Leopold I barona Mercy do nadreńskich dworów i do Strasburga, namawiając ich do bronienia tej perły Alzacji. W dodatku wyprawił zaraz 6000 żołnierzy, żeby wzmocnić załogę Strasburga. Ale przedajna większość republikańskiego senatu, ani słyszeć nie chciała o przyjęciu tej zbrojnej pomocy. Co większa odprawiła do domu 1200 Szwajcarów, na ich żołdzie w Strasburgu garnizonem stojących, i równie na żądanie Ludwika XIV kazała zburzyć przyczółek mostu, wysunięty ku Kehl. To oddalenie Szwajcarów, dokonane pod pozorem ulżenia ciężaru wydatkom rzeczypospolitej i usunięciu wszelkich przyczyn, za które król francuzki mógłby się być czepiać i wolności miastu zagrażać, stało się właśnie w tej chwili, kiedy naokoło Strasburga zaczęły się zbierać francuzkie wojska i wielkie przygotowania wojenne porobiono.

Luvois już przed kilku tygodniami dowiedział się przez swoich agentów i szpiegów przy południowych niemieckich dworach, że i one i górnoeńskie i szwabskie państwa burzą się przeciw Francji. Z drugiej strony Rebenac, poseł francuzki w Berlinie, doniósł mu, że się gotuje przeciw Ludwikowi XIV formalna liga, że najdalej w czternastu dniach przyjdzie do skutku, i że nawet kurfirst brandeburski, chociaż na pozór obojętny, przechyla się ku niej. Minister wiedział także dobrze, że szwajcarski garnizon w połączeniu z mieszczanami, nienawidzącymi Francuzów, mógłby bronić Strasburga aż do przybycia 6000 Niemców, wysłanych przez cesarza; że po ich przybyciu trudnoby było opanować miasto, a zatem trzeba było korzystać szybko z czasu, jaki mu pozostał między odprawą Szwajcarów a przybyciem cesarskich.

Młody, ambitny dyplomata Chamilli, wysłany był od Luvois i miał od niego bardzo ważne odebrać zlecenie. Jedź — powiedział minister do wysłańca — dziś jeszcze wieczorem do Bazylei. W trzy dni zajdziesz tam; czwartego dnia o godzinie drugiej po południu, udasz się na tamtejszy most na Renie, wezmiesz z sobą spory kajet, pióro i atrament i zanotujesz jak najstaranniej to co tam przez dwie następne godziny zobaczysz. Obstalujesz sobie naprzód kurjerskie konie i punkt o czwartej, pędząc dzień i noc nie zatrzymując się nigdzie, przywieziesz mi kajety i oddasz natychmiast, gdziekolwiekbyś był i o jakiej godzinie.

I tak się stało. Kiedy na bazylejskiej katedrze wybiła trzecia, stanął na środku mostu jakiś człowiek w żółtej kamizelce i żółtych spodniach; postąpił kilka kroków naprzód, wrócił znowu, spojrzął w rzekę i uderzył trzy razy łaską w pomost.

O godzinie czwartej pędził już Chamilli z powrotem do Paryża i w dwa dni o jedenastą w nocy stanął przed Luvois który z gwałtowną niecierpliwością podskoczył ku niemu wyrzekłszy:

— Pański kajet?

— Oto jest!

Kiedy przeczytał co tam było o żółtym człowieku napisane, porwał się z krzesła i wesoło wykrzyknął: „Strasburg nasz!” Pobiegł do króla, konferował z nim przez pół godziny a potem wysłał czterech kurjerów w różne strony. W ośm dni potem 35,000 Francuzów otoczyło Strasburg.

Człowiek żółty na moście w Bazylei był agentem

Luvois, Güntzera i innych zdrajców i dał umówiony znak, że Szwajcarowie opuścili już Strasburg i że teraz jest najstosowniejsza pora do zadania ostatniego ciosu małej, a tak szczęśliwej dotąd krainie. Jakoż w nocy z 27 na 28 Września 1684 r. francuzki pułkownik Asfeld obsadził dragonami nadreńskie szaniec i wszystkie drogi prowadzące do miasta, w którym znajdowało się tylko 500 zacieźnego żołnierza i jeden oficer. Magistrat wystosował zapytanie do Asfelda co to miało oznaczać? Na co pułkownik grzecznie odpowiedział, że głównodowodzący dowiedział się że cesarskie wojsko zbliża się do miasta, chce więc zająć przejście przez Ren i w interesie króla i samego Strasburga nie puścić ich na drugą stronę rzeki. Nazajutrz przybył Luvois do głównej kwatery w Ilkirch i wezwał zaraz miasto żeby się poddało królowi francuzkiemu. Jeżeli spokojnie zaufa łaskawości Ludwika XIV to wszystkie jego przywileje i swobody będą mu zapewnione, a jeśli się opierać będzie to ogłoszą buntowników strasburskich mieszczan i stosownie do tego z niemi postąpi. Wiecznie też sama historia wilka i jagnięcia!... Mimo to wielu z nich pobiegło na wały, gdzie znaleźli wprawdzie armaty, ale ani odrobiny amuniej.

Rozpoczęte układy między Luvois i magistratem były po prostu komedją dla zamydlenia oczów. Prosił on ministra o kilka godzin czasu do obmyślenia środków, żeby swoich żołnierzy, tak przywiązanych do swoich demokratycznych urządzeń, uspokoić i ku Francji i jego żądaniom przechylić. Zwołano wszystkie cechy i przekonano je, że opór będzie zgubą. Jeden tylko krakwiecki cech nie chciał słyszeć o poddaniu się i chciał bronić miasta do ostatniej kropli krwi. Ale i ten musiał uleść przed wszechmocną koniecznością. Zawarta 30 Września 1681 roku kapitulacja miała dwa główne warunki: Miasto Strasburg uznaje najwyższym swym panem i władcą Ludwika XIV a ten znowu obowiązując się zachować mu jego polityczne i kościelne urządzenia. Katedrę jednak odda katolikom i biskupowi, a zbrojownię Francuzom.

Tego samego dnia po południu odbył Luvois tryumfalny wjazd do Strasburga na czele 15,000 wojska, a w miesiąc potem sam Ludwik XIV z całą rodziną przyjmowany był w Strasburgu z niezmiernym przepychem. Następnego dnia przyjmował króla u drzwi katedry Franciszek Egon Fürstenberg, biskup strasburski następującą mową:

„Przywrócony w posiadanie wiekopomnej świątyni przez W. K. Mość, z której moi poprzednicy wygnani zostali przez świętokradzkich heretyków, mogę powiedzieć z Symeonem, że z radością ujrzałbym teraz koniec żywota mego. Jeden z przodków W. K. Mości, król Kłodowusz położył pierwszy kamień do tej okazałej katedry, drugi król Dagobert ufundował biskupstwo, ale W. K. Mość przez to co teraz dokonalesz, zdobyłeś sobie jeszcze większą sławę.”

Niedługo też czekał na ów koniec dni swoich, bo umarł zaraz następnego roku 1. Kwietnia 1682 a następcą po nim, z rozkazu Ludwika XIV, został brat jego Wilhelm Egon. Wspólnik jego zdrady, Jan Krzysztof Güntzer, dostał 50,000 guldenów i dobra Probsheim, a w dodatku został Syndykiem i dyrektorem kancelarii w Strasburgu. I wszystko było dobrze na tym najlepszym świecie!...

Ala zabór Strasburga przez Francuzów wywołał w Niemczech wielkie wzburzenie. Cesarz i książęta świętego rzymskiego państwa poruszyli się na prawdę i stanowczo działać poczęli. Umową zawartą w Laxenburgu 1682 r. zobowiązali się do wystawienia trzech armji nad Renem, każda o 60,000 ludzi. Ale Ludwik XIV rzucił im na kark Turków, którzy byliby całą Germanią pochłonęli, gdyby ich był Jan Sobieski na głowę nie pobit pod Wiedniem. W trzy naście lat potem na mocy pokoju zawartego w Rysziku 1697 r. Ludwik XIV zmuszony był do zwrócenia wszystkich aneksji, ale za to Alzacja i Strasburg zostały mu na wieczne czasy przyznane, ze wszystkimi prawami senioralnego władcy i do ostatniej wojny Pruss z Francją przy niej zostawały.

Były tam różne nieporozumienia między francuzkim rządem i Alzaczycami, odnoszące się do praw, zwyczajów, narodowości i religji, ale wszystkie ułagły w wielkiej Rewolucji z 1789 r. a obie narodowości zły się w tak jednolitą całość, że oderwanie jednej od drugiej nastąpiło tylko po wielkim krwi rozlewie.

1) Pożar ten wybuchł 1686 r. i zniszczył tajne archiwum miasta, w którym przechowywane były wszystkie dokumenta do tej sprawy należące. Płonienie wtedy tylko bywają tak uprzejme, kiedy niemi ludzka ręka kieruje.



## URYWKI Z PODRÓŻY

PO STYRII

PRZEZ

Tadeusza Jerzego Steckiego.

w roku 1870 odbytej.

(Dokończenie.)

W rycerskich salach pozostały rozwieszane krwia Turka i Węgrzyna zbroczone broje, zardzewiałe pancerze i przyłbice, długi szereg portretów, starych antenatów których waleczne czyny, gdzieś tam po starych kryją się kronikach. Najciekawsze w tych zamkach, to ich podziemia, dziś puste, bez więźniów, a od których flegmatyczny Niemiec, zwiędzającym z pedanterją otwiera ciężkie, żelazem okute, skrzypiące na wrzeczadkach drzwi, oprowadza po komorach w których często jeszcze ze śladami barbarzyńskiego dawnych wieków feudalizmu spotkać się można. Na ścianach wiszą szczątki łańcuchów, po kątach walające się narzędzia tortury, dokoła cisza, puszczyki i nietoperze tylko skrzydłami trzepoczą, a przewodnik wciąż niemy, zimny z uśmiechem na ustach z czołem dumą opromienionym mówi: Hier war die Folterkammer, jakby dawną sypialną komnatę swych panów i ich sakramentalne pokazywał łożo. W rogu zamku, w kilku mniejszych komnatkach cisnie się z rodziną, z kilku sługami pan domu, potemek dawnych rycerzy, mały, blade, schorzały. Nie mogący nawet dźwignąć pancerza, co wisi w sali przodków — smutnem, zamglo-nem okiem wodzi po groźnych wałach swjej siedziby, i marzy... któż tam wie o czym? To tylko pewno, że nie jemu już dano praojców wskrzesić sławę. Zostawmy go marzącego, wróćmy jeszcze bliżej by mu się i siedzibie jego lepiej przypatrzeć. Pociąg znowu nas dalej unosi. Zamki migają się z szybkością błyskawicy i oto *Premstätten* pierwsza stacja za Grazem i posiadłość hr. Sauran. Nieco dalej zamki *Weissenneck* i *Wildon* ostatni z ruiną niedgłej przez astronomia Tycho de Brahe zamieszkała, *Seckau* własność biskupa Grazkiego z pałacem pełnym obrazów i kosztownych dzieł sztuki. *Ehrenhausen* siedziba hr. Attems z pięknym pomnikiem księcia Egenberga, dawnego tego miejsca dziedzica a za rzeką Sulm *Spiefeld* tegoż Attems, jeszcze z zamkiem i gościniec, którym porzućmyś kolęj na Marburg do Triestu idąc, ku celowi naszej podróży do Gleichenbergu udać się mamy. Cztery godzin póżowej drogi przed nami a niemiła to jazda w Niemczech, radzi jednak byliśmy tej zmianie, bo się przecie okiem turysty po okolicy rozglądać można. Rzeka Mur pozostała z nami, za jej biegiem ruszamy dalej przez *Murthal*. Na prawo rozciąga się granica Węgierska i niebotyczne góry: na lewo wioski w ogródkach, poprzecinane kawałkami pól, tak mikroskopijnie małych i wąskich, że nam mimo-woli nasze polskie warzywne grządki przypominają. Zład chleba starczy temu ludowi, to pytanie któreśmy nieraz sobie stawili?

Otóż i pierwsze z węgry graniczne miasteczko *Radhershburg*, w dolinie rozłożone ztąd częstym powodziom Muru uległe. Miało to miejsce niegdyś swoje znaczenie, swoje dnie chwały, trwogi i smutku. Już w 1582 r. jako punkt graniczny obwarować je postanowiono, dotąd sterczą szczątki jego murów i dwie nawpół rozwalone szczyty wjazdowe. W 1284 r. oblegał to miasto Graf Iban (Istvan Stefan) von Güns, który prześladował wówczas ukrywającego się w okolicy Abbata Henryka II von Admont. Od roku 1418 do 1475. Turcy kilkakrotnie tu napady robili, zawsze odpierani, po raz pierwszy z wielką stratą, a dowódcą ich Achmet-Beeg, przez Herboga Ernerta *Zelaznym* przezwanego, pojmany dostał się do niewoli. W 1480 r. miasto i okolicę zawojował chwilowo król Węgierski Mathias Corvinus. W drugiej połowie XVII i pierwszych lat XVIII wieku, plądrowali tu Rakocianie *Kruszen* także *Kuruzen* w kronikach miejscowych nazywani, bandy węgierskich malkontentów, często rabusiów i wojskowych dezertów, osłaniających się tylko imieniem Rakoczego, którzy niszczyli i palili wieś i miasteczko nad granicą Węgier położone. Z napadu tureckiego w 1704 r. na Radhershburg do-

konanego, odpartego jak wiele innych przez dzielnych mieszkańców, pozostało tu dużo broni, sztandarów i innego rynsztunku, który w ratuszowej sali tutejszej dotąd przechowują. W latach 1586 i 1598 formowała się tu tak zwana reformacyjna komissja, która prześladowała naukę Lutra, mocno w tych stronach rozgalezioną a której nowowiercy bronili zażarcie, w miarę rosnącego ucisku. Smutnej pamięci biskup Marcin Brenner, nienawistny ludowi który go Ketzenhammer nazywał, najgwałtowniejszych używał tu środków, wprowadzając katolicyzm do kościołów. Dotąd na rynku kilka białych płyt kamiennych otaczających statue N. Panny, pokazują tu jako miejsce na którym palono protestanckie księgi, przez komissję na zniszczenie skazane. Najświetniejszą dobą w historii Radhershburga miał być wiek XVI, kwitnęły tu wówczas handel i przemysł, a słynne tutejsze wyroby żelazne aż na Wschód dostawały się. Odnaczało się tu zwłaszcza patryotyzmem i posługami dla kraju mieszczaństwo, które innym miastom niemieckim przodowało. Takiemi były możne mieszczańskie rody Eggenbergów i Wechslerów, uszlachcone, utytułowane następnie i poważne stanowisko w późniejszej arystokracji niemieckiej trzymające. Liczne nagrobki tych dwóch rodzin, ciekawe zabytki pod względem sztuki, widzieć można w miejscowym niezmiernie starożytnym kościele, którego fundacją do 1188 roku odnoszą.

Dziś Radhershburg, mała upadła miejscina *Markt*, przez dawnych pamiątek, słynie tylko kilku, najlepszymi w okolicy winnicami, a te są Pöltschberg, Murberg, Johannesberg i Kerschbach.

Tuż za miastem na wysokiej prawie pionowej skale, jednej z tych skał które podziw podróżnych w tym kraju wywołują, zawisł raczej niż zbudowany piękny zamek, wiszącymi do koła ogrodami opasany! To *Ober-Radhershburg* posiadłość hr. Hermana von Wurmbbrand. I w Styrii jak w dawniej Polsce nazwiska rodzin powstały od nazw ziem, dominum, otóż i tu pierwszymi dziedzicami mianują rodzinę Radhershburgów, czy Rukessburgów, których protoplasta Hartnid miał być towarzyszem Barbarossy w wojnach krzyżowych. Ulubiona to legitymacja Niemców te wojny krzyżowe.

Pod koniec XVII wieku dziedzicami byli tu exmieszczanie książęta Eggenbergowie, ród już wówczas potężny i sławny. Marja-Eleonora ostatnia z rodu książęńska w r. 1774 zamek ten darowała mężowi hr. Leopoldowi Herbensteinowi, od tej rodziny kupili go Wurmbbrandowie. Zamek ten przez dziedzica zamieszkały, utrzymany starannie, z galerji jego prześlicznej widoki rozciągają się na okolicę. Z dawnych zabytków prócz portretów dawnych dziedziców, prócz samej budowy zamku, nietkniętej, ocalała jeszcze piękna, charakterystyczna brama z herbami Herbensteinów.

Nie potrzebujemy tu jak u nas długich przejeżdżać przestrzeni, zanim spragnione oko nasze, a często i żołądek dostrzegą lichę wioskę, lub lichszą jeszcze karczemkę w polu. Tu miasteczko za miasteczkiem, zamek za zamkiem zmieniają się, a cała Styria widok dużej, rozrzuconej fermy przedstawia. Jeszcze zamek Wurmbbrandu skryć się przed nami nie zdołał, a już nowe miasteczko *Murek* pokazało się nam w dolinie. To punkt znaczniejszy w nim okręg powiatowy *Bezirkamt* miasteczko handlowe, a w jego kramiach wszystkiego dostaniesz, wszystkiego co potrzeby okolicznych na kilka mil mieszkańców, zadowolnić jest w stanie. W środku miasteczka prześliczny, pełen charakteru, stary jak świat a przynajmniej jak miasto, ratusz, z wieżycą i zegarem a na tej wieżycy starożytne płaskorzeźby: Romulus i Rem z wilczycą, Herkules ze lwem i inne mitologiczne, wyborne dochowane postacie. W salach tego ratusza mają się znajdować najstarsze akta w okolicy, protokoły gminy, ciekawe materiały do historii dawniej Styrii i licznych starożytnych jej osad. W miasteczku dwa kościoły po-Kapucyński i parafjalny fundacji Stubenbergów, dziedziców sąsiedniego zamku Ober-Murek, nad miastem dominującego. W tym kościele a raczej za kościołem w opasującym go murze są stare groby tej rodziny protestanckiej, a więc jakoby wyrzucone z domu Bożego za czasów nietolerancji religijnej.

## WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dokończenie.)

XXIV.

Otworzyłem je niezadługo. Alicja przyciskała się do mnie tak jakoś dziwnie, jakby mnie chciała udusić. Spojrzałem na nią — krew lodem stanęła mi w żyłach. Ten tylko co widział kiedyś twarz ludzką, która nagle, bez żadnych widocznych powodów, wyraziła najgwałtowniejsze przerażenie, ten tylko mówię, zdoła wyobrazić sobie wrażenie jakiego doznałem, ujrawszy bezmierny przestach malujący się na twarzy Alicji. Nigdy nie podobnego na żadnej żyjącej nie spostrzegłem twarzy... Widziałem, istota bez życia, nadludzka, cień — skąd jej przestach tak straszny?...

— Co tobie, Alicjo? zapytałem.

— To ona! Ona!... odpowiedziała z wysileniem...

To ona!...

— Kto? Co za ona!

— Nie wymieniał jej imienia! nie wymieniał!... wyjąkała nagle. Trzeba uciekać! Wszystko się kończy... na zawsze!... Patrz! to ona!

Zwróciłem oczy w stronę którą drżąca wskazywała ręką, i postrzegłem coś... coś rzeczywiście przerażającego... a było tem straszniejsze że nie miało żadnego wyraźnego kształtu... Była to jakby ciężka i wielka bryła, ciemna, czarno-żółta, pocentkowana jak grzbiet jaszczurki; nie mgła i nie chmura. Zwolna, wzorem gadu rozwijało się na ziemi; potem nagle zaczęło wykonywać olbrzymie jakieś poruszenia, już to ku górze już ku dołowi, naksztalt drapieżnego ptaka, gotującego się pochwycić swą zdobycz. Czasami to coś przychyliło się do ziemi strasznie rzutami... niby pajak cychający na muchę uwieczoną w pajęczynie... Czenie ty jesteś straszna masso?

Za jej pojawieniem się — wyraźnie czułem to i widziałem — wszystko w około drętwiało ubezwładnione jakby uniestwiając się i rozpuszczając. Ostre zabójcze zimno rozciągało się dokoła, a poczucie tego zimna lodem ścisnęło serce, oczy zastaniały się i nie widzieć nie mogły, włosy stawały na głowie. Była to siła w ruchu, siła nieprzeparta, nie dająca się powstrzymać, bez formy, bez wzroku, bez myśli, a mimo to widząca i wiedząca wszystko; równie żadna zdobyczy jak ptak drapieżny i jak on cychająca na swoją ofiarę; równie chytra jak wąż i równie jak wąż lodowatym uzbrowiona żądłem.

— Alicjo! Alicjo! krzyknąłem drżąc jak listek: to śmierć! to ona!

Z piersi Alicji wydarł się taki, jak raz już słyszałem, krzyk bolesny, — ale tym razem, była to skarga rozpacz. Przyspieszyliśmy nasz lot robiąc przeróżne zwroty i zakręty; raz po raz Alicja wzbijała się wyżej, dając, że tak powiem, nurka w powietrzu, i co chwila zmieniając kierunek; — jakby zraniona kuropatwa, pragnąca rozmaitymi obrotami, zmylić pogoń psa cychającego na jej pisklęta.

Mimo to z owęj bezkształtnej masy wydobywały się długie macki, niby niezmierzone ramiona, wyciągające się coraz więcej aby nas pochwycić w swe szpony... W tem nagle, ukazało się na niebie olbrzymie widmo, siedzące na jakimś białawym koniu, Alicja wyteżała swe rozpaczliwe wysilenia...

— Spojrzałem na!... stało się! jestem zgubiona. Niezwykle, zanosząc się od płaczu. Niestety! o! ja nieszczesna! byłabym mogła... życie byłoby dla mnie... a teraz!... uniestwiona! uniestwiona!

Usłyszawszy te zaledwie wybełkotane słowa, straciłem przytomność.

XXV.

Przyszedłszy do siebie leżałem na wznak na murawie, a we wszystkich członkach ucuwałem ból taki, jakiego doświadczamy spadłszy ze znacznej wysokości. Dzień zaczynał świtać, okoliczne przed-



miota rysowały się wyraźnie. W niewielkiej odległości widniała droga wysadzona małymi wierzbami, ciągnęła się ona brzegiem brzoźowego lasku. Znałem dobrze tę miejscowość. Powoli zacząłem przypominać sobie nocne wydarzenia, i zadrżałem pomyślniejszy o przerażającym widziadłe, które mi się ukazało.

— Ale dla czegoż Alicja tak okropnie się przelekła? Zapytywałem sam siebie. Czyżby i ona podlegała jej władzy? Al! może ona nie jest nieśmiertelna, może jest przeznaczoną na zniweczenie i unicestwienie? Jakże się to stać może?

Tuż obok odezwało się słabe westchnienie. O dwa kroki odemnie, leżała rozciągnięta nieruchomie na murawie, młoda kobieta, ubrana w długą białą suknię. Długie włosy rozrzucone się beładnie; jedno ramie było odsłonięte. Lewą rękę podłożoną miała pod głowę, prawa spoczywała na piersiach. Oczy były zamknięte, na ustach pokazywała się jakby czerwona piana. Byłaby to Alicja?... Ależ Alicja była widziadłem, a leżąca obok mnie kobieta była z ciała i z kości. Przysunąłem się do niej i pochylając ku jej twarzy, zapytałem. Tyżes to, Alicjo?... Drgnęła silnie; powieki jej się rozwarły; wlepiła we mnie swe wielkie oczy. To spojrzenie jej przeniknęło mnie i jakby przebiło na wskrós... i w tejże chwili do ust moich przyczepiły się usta gorące, słodkie ale jakby krwią oddychające. I uczułem że rozplamione jej łono ciśnie się do moich piersi, a palące ramiona splatają się w około mój szyi.

— Bywaj zdrow! bywaj zdrow na wieki!... rzekła umierającym głosem.... I wszystko znikło.

Powstałem, chwiejąc się jak pijany i długo rozglądałem się w około co chwila przesuwając sobie ręce po twarzy. Nareszcie znalazłem się na drodze do N. o dwie wiorsty od domu. Słońce weszło gdy wchodził do mego pokoju.

Następnej nocy, czekałem, nie bez strachu, przyznając otwarcie, ukazania się mego widziadła. Raz w nocy poszedłem pod dąb stary, ale nie zobaczyłem nic niezwykłego — nie żałowałem jednak moich niepojętych schadzek.

Rozmyślałem długo nad moją nadprzyrodzoną przygodą, — ale przekonałem się że nauka rozwiązać jej nie zdola i że ani legendy, ani tradycje nie podobnego nie podają. Czem była Alicja? — widziadłem, duchem pokutującym, przeszkodą czy upiorem?... Czasami zdawało mi się, że była kobietą, którą znałem niegdyś i siliłem się aby koniecznie przypomnieć sobie gdzie ją widziałem.... Raz.... dziś, w tej chwili, przypominam sobie.... Ale gdzie?... Daremnie! w wspomnieniach moich wszystko miesza się jak we śnie....

Tak, długo, długo przemyślałem na tem, i łatwo pojąć że mnie to do niczego nie doprowadziło. Nie śmiałem zwierzyć się przyjaciółom, aby mnie nie wzięli za warjata, — nakoniec postanowiłem przestać myśleć o tem wszystkim. Prawdę mówiąc nie-mało miałem innych kłopotów na głowie.

Z jednej strony zaskoczyło mnie wyswobodzenie włóścian i rozdział własności, — z drugiej, zdrowie moje mocno zostało nadwężone. Często cierpię na piersi, nie śpiam, suchy kaszel męczy mnie niewypowiedzianie. Schudłem, martwa bledność pokryła twarz moją. Doktor twierdzi że w mojej krwi za mało kulek, nazywa stan ten anemią i wysyła mnie do Gastheim. Rządca mój klnie na czem świat stoi że beze mnie nie trafi do ładu z chłopami. Bierż licha! niech sobie radzi jak może.

Ale co znaczą te wyraźne, czyste, dźwięczne tony harmoniki, które zawsze dają mi się słyszeć ilekroć w mojej obecności mówią o czyjejkolwiek śmierci?... i zawsze wówczas stają się stopniowo coraz mocniejsze i głośniejsze. Czemu przejmuję mnie przykry dreszcz na samą myśl unicestwienia?...

## Korespondencja ze Lwowa.

Wystawa obrazów. — Obrazy Piotrowskiego, Mireckiego, Maleszewskiego, Eljasza, Lessera, Cynka, Suchodolskiego i Bryniarskiego. — Leopolski. — Wola i Przyrodnik. — Piękna pani J. J. Kraszewskiego. — Skrupuły, dr. Kazimierza Chładowskiego. — Nowy burmistrz. — Czynności rady miejskiej. — Nowy hotel. — Pani Dobieszewska i oplakany los korespondenta „Czasu.“

Już w pierwszych dniach Kwietnia otwartą została czwarta z kolei wystawa obrazów, urządzona przez lwowskie Towarzystwo sztuk pięknych. Dotąd jednakże sala nie jest zapełniona a porządkowa liczba katalogu wystawionych dzieł sztuki bardzo powoli zbliża się do setki. Artyści posiadający już wielki rozgłos lub ustaloną reputację, przyrzekli przysłać swe dzieła na wystawę, ale dotąd nie spieszą się z tem weale. Pewni tryumfu zwlekają aż do chwili gdy niecierpliwość i ciekawość publiczności, dojdzie do punktu kulminacyjnego. Niektórzy artyści mniej pewni siebie chociaż zaszczytnie już znani, dopuszczają się zwłoki dla pewnych kombinacji taktycznych. Na samym wstępie wystawy gdy publiczność widzi przed sobą cały szereg rzeczy pięknych i nowych, rywalizacja bywa trudną i niepewną. Obraz nadesłany znacznie później na wystawę, zwraca na siebie większą uwagę i urokiem nowości zdobywa sobie bodaj na chwilę palmę zwycięstwa na rywalu może nawet znakomitszym. Taką chwiejność sądu spotkać można oczywiście tylko u mniej kompetentnych widzów, ale u nas znawców prawdziwych i kompetentnych jest tak mało, a *irritabile genus* artystów nie pogardza weale poklaskami profanów.

Tegoroczna wystawa składa się w bardzo przeważnej części z obrazów olejnych. Między niemi największą zwracają na siebie uwagę: *Ostatnia chwila Wandy* (M. A. Piotrowskiego z Królewca), *Portret Bohdana Zaleskiego* (Tytusa Maleszewskiego z Paryża), *Znalezienie zwłok Wandy* (Aleksandra Lessera z Warszawy), *Polowanie z Sokółem* (Kazimierza Mireckiego z Krakowa), *Żacy krakowscy* (Walerego Eljasza z Krakowa), *Obawa o wasy* (Leopolda Löfflera z Wiednia), *Odkrycie źródła na puszczy* (tegoż), *Długosz i Sw. Kazimierz* (Cynka Florjana z Krakowa), *Zdobycie Saragossy* (Januarego Suchodolskiego z Warszawy), *Groby królów polskich na Wawelu* (Bryniarskiego Stanisława z Krakowa), a wreszcie *Ciekawy malarz* (M. A. Piotrowskiego z Królewca).

Kilka z tych obrazów zna już Warszawa a jeden z nich (Lessera) doczekał się już dużo reprodukcji w ilustrowanych pismach i pochlebnych krytyk, na które zgadzamy się w zupełności. Zbliżony tematem do obrazu Lessera obraz Piotrowskiego „Ostatnia chwila Wandy” jest co do rozmiarów największym dotąd a może i najpiękniejszym ze wszystkich obecnie wystawionych. Rzadka precyzja w technicznym wykończeniu, nadzwyczaj zręczne kreślenie konturów i śliczny koloryt, pozwalają wróżyć piękna przyszłość artyście, który dotychczas mało jest jeszcze znanym. *Żacy Walerego Eljasza* mogą z tym obrazem godnie współzawodniczyć. Z portretem Bohdana Zaleskiego malowanym przez Tytusa Maleszewskiego, żaden inny portret na wystawie nawet w porównanie iść nie może. Jestto dzieło znakomite w całym tego słowa znaczeniu. *Polowanie z Sokółem* Kazimierza Mireckiego, jest miłutkim obrazkiem porywającym oko jakimś czarownym wdziękiem. *Obawa o wasy* Leopolda Löfflera jest bardzo sympatycznym obrazkiem humorystycznym.

Daremnie szukaliśmy w dziale obrazów olejnych dzieła pana Wilhelma Leopolskiego, niezawodnie najzdolniejszego artysty lwowskiego. Fakt ten nieprzyjemny dla wszystkich zwiedzających wystawę lwowską, powtarza się już od dwóch lat. W tym roku wystąpił Leopolski śliczny obraz na wystawę do Krakowa. W tajemniczone osoby zapewniają, że artysta nie zapomni i o lwowskiej wystawie ale nie mamy nadziei, by się obietnica ziściła. Pan Leopolski pracuje nad wielkim obrazem przedstawiającym zgon Klonowicza, który już od kilku lat czeka wykończenia, ale wątpimy, by artysta znany ze swojej nadzwyczajnej staranności już w tym roku wystawił go we Lwowie.

W dziele akwarel i rzeźb nie zatrzymujemy się długo, bo oddział ten nie celuje ani obfitością ani dobozem dzieł wystawionych. Dotychczas przysyłał na wystawę pan Franciszek Tępa śliczne akwarele. W tym roku jednakże i ten artysta pogniwał się na wystawę lwowską, bo obdarzył ją tylko portretem syna Zygmunta Krasieńskiego.

Przechodząc do spraw literackich muszę na wstępie przeprosić łaskawych Czytelników, że bawiłem się w poprzedniej korespondencji w prorocтва, które oczywiście weale się nie ziściły. Zapowiadałem bowiem upadek *Mrówki*, która tymczasem rozpisuje dalej prenumeratę, a tem samem zadała kłam moim obawom. Pocziwa *Mrówka* nie myśli upadać, a jej wytrwałość i odwaga, zagrzewa nawet innych wydawców do meztwa i walki z galicyjską apatją do czytania. Od 3 maja bowiem zacznie wychodzić we Lwowie nowe pismo literacko-belletrystyczne p. t. *Wola*. Pismo to wychodzić będzie trzy razy na miesiąc pod redakcją p. Teofila Szumskiego, autora kilku powieści: *Niewolnicy serca*, *Ludzie dobrych chęci* etc. Chociaż największego życzymy *Woli* powodzenia, mimo to przecież niepodobna uwierzyć w dłuższą jej egzystencję. Dzisiaj już bowiem i to nieliczne grono czytelników, którzy szli w pomoc wydawcom i prawie wszystkie pisma prenumerowali, doznawszy tylu zawodów, zwątpiwszy o możliwości trwałej egzystencji naszych publikacji periodycznych, z niedowierzaniem wezmą do rąk świeży prospekt. Zresztą i pora, w której wydawcy *Woli* biorą się do dzieła jest niestosowną. Na wiosnę bowiem i ci nawet którzy w ciągu roku coś czytali i prenumerowali, porzucają lekturę szukając rozrywek w wycieczkach zagranicą u wód etc. Większą rekojmie powodzenia ma już fachowe pismo: *Przyrodnik*, który zaczął wychodzić w ostatnich dniach kwietnia.

*Biblioteka powieści i romansów* zaczęła wydawać obok dzieł tłumaczonych także i oryginalne. Pierwszą oryginalną powieścią Biblioteki jest *Piękna pani* studjum — powieść J. I. Kraszewskiego.

Pisarzowi takiemu jak Kraszewski, którego kolosalna łatwość produkcji obdarza nas ciągle świeżemi powieściami i w chwilach nawet najprzykrzejszych dla literackiego ruchu, niezmordowanie a nawet z podwojoną pilnością stara się przewyższyć prąd nieprzyjazny, czytelnik chętnie przebaczy, jeżeli spotka się w nowej jego powieści z charakterami niezupełnie świeżemi, z intrygą i motywami poruszonymi już i w dawniejszych utworach. Ale tu częściowa reprodukcja powinna nam w takim razie przypominać rzeczy święte; których tyle dostarczył czterdziestoletni zawód pisarski J. I. Kraszewskiego. Na nieszczęście *Piękna pani* przypomina nam i do tego bardzo żywo jedną ze słabszych powieści tego autora wydaną przed kilku laty w Warszawie p. t. *Orbeka*. Krótkim zebraniem treści *Pięknej pani*, chcemy poprzeć twierdzenie nasze wobec tych czytelników, którym znany jest *Orbeka*.

W powieści tej tak samo jak w *Orbecie* bohaterką jest kobieta fenomenalnej piękności, hr. Laura wyposażona przez naturę porywającymi wdziękami chyba dla okazania, ile fałszu, przewrotności i moralnej ohydy ukryć się może pod czarowną maską. Laura jest do najwyższego stopnia płochą i prózną. Potrzeba ciągłych hołdów i tryumfów bodaj chwilowych, stała się u niej silnym nałogiem, dla którego zaparła się wszelkiej uczciwości i wstydu. Ciągłe skupia się około jej osoby tłum wielbicieli oczarowanych, skazanych z góry na rychłe niechybne rozczarowanie. Laura bowiem każdemu z nich tylko kilka chwil poświęca, i w tym krótkim czasie umie podbić sobie ich serca wyrafinowaną kokieterją i kłamanami uczuciami. Podbiwszy raz ofiarę porzuca ją natychmiast i goni za nową zdobyczą. Ta próżność jej nie zna granic, a niedola biednych ofiar płochy kokieterji, zamiast uśmierzać pobudza ją owszem do występniejszych jeszcze igraszek.

(d. c. n.)

## KORESPONDENCJA.

Pani M. H. Biblioteka Romansów wychodząca we Lwowie przychodzi do tutejszych księgarni w osobnych książkach po rozmaitej cenie, stosownie do obfitości.

Pani Stefanji C. Garnitur złoty z koralami kosztuje rs. 60.



## PAMIETNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENI MŁODEJ PANNY

ulożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Wypadek zrzucił, że siedziałam w tym samym pokoju, w którym przed czterema laty pan Henryk oświadczył się o moją rękę. Krosienka nawet w których wyszywałam naówczas, stały pod oknem warstwą kurzu pokryte. Przypominałam sobie jak wyrzekł do mnie wtedy wielkie słowo: kocham! i jak w ustach jego, słowo to wydało mi się podobne do skrzeczenia żaby nad stawem, i jak potem przekładał mojej matce, że dobrze było jeśliby jej pastwiska połączyły się w jedną całość z jego pszeniami gruntami, jej lasy z jego spławną rzeką... Uśmiechnęłam się na to przypomnienie, ale na sercu ciężko mi było. Przed oczami memi stały wszystkie uciechy i smutki, rojenia i zawody tej pierwszej młodzieńczej epoki mego życia. Wywołane wpływem miejsca w jakim się znalazłam, w pamięci mojej powstały postacie Agenora, Lubomira, Emilki, Zeni, Helenki i Zosi... A wśród nich najwyraźniejsze najpiękniejszym oblane blaskiem, zamigotało jeszcze wspomnienie jedno, pragnęłam zatrzymać się nad nim, popatrzeć na nie ale poczułam, że serce zaczyna mi oblewać się rzewnością, łza biegnie pod powiekę...

Zamknęłam oczy, aby to świadectwo rozrzuconia zmusić, iżby do źródła swego wróciło i próżnem marzeniem nie rozmiękczało mi serce... Wiedziałam już wtedy z doświadczenia i potem przekonałam się wielokrotnie na sobie i innych, że z mnóstwa szybkich i rozmaitych wrażeń, często wyłącza się jedno posiadające w sobie dziwną moc życia i trwania, i wtedy gdy wszystkie inne z upływem czasu bledną i nikną, ono żyje w nas, trwa i promienieje przy każdym nań wejrzeniu. Zdawało mi się i zdaje, że we wrażeń takim jakkolwiek wynikiem z chwili przelotnej i żadnych widocznych niezostawiającem po sobie śladów, musi spoczywać początek wielkiego jakiegoś uczucia, które tylko stłumione życiowymi warunkami co go otoczyły, rozwinać się i wzrosnąć nie mogło. Chcąc dowiedzieć się o wartości wrażeń kiedykolwiek doznanych, trzeba je tylko po wielu latach minionych zważyć na szali pamięci. Te które podniosą się w górę jak leciuchne listki, były wynikiem płochości i wyobraźni: te co zaciężą na szali i zapadną w głąb piersi, płynęły z serca i miały w sobie zarody prawdziwego uczucia.

Szala pamięci mojej opuszczała się zawsze nisko i dotykała najgłębszych strun mojej istoty, ile razy wspomnienie przyniosło mi obraz hr. Witolda... Tym razem jednak nie chciałam zatrzymywać się długo nad tem wspomnieniem. Czułam, pojmowałam, że nie powinnam była roztkliwiać się i rozmarzać wtedy, gdy wielkie i trudne obowiązki poczynają ciężyć na moich młodych siłach.

Wolałam zwrócić myśl do dawnych a kochanych

przyjaciółek moich. Wiedziałam że żadna z nich szczęśliwą nie była.

Zenia bawiła się podobno w świecie, stroiła się i świetniała zbyt, jakim ją otaczał bogaty i rozkochany w niej p. Michał. Parę osób spotykających ją w Paryżu i Warszawie, opowiadało mi, że wyglądała na szczęśliwą i wiecznie wesołą kobietę. Ale ja com tak dobrze świat ten znała, w którym żyła ona i przykre cienie kryjące się pod jego połyskami, mogłam że wierzyć w szczęście Zeni na tych połyskach oparte? Emilka mieszkała w domu brata; Helenka podróżowała wciąż po obcych krajach, nie mogąc pozbyć się z piersi zarodów śmiertelnej choroby, wyniesionych z młodości bezczynnej, napełnionej gorączkowymi wrażeniami i oblanej cichą za czemś lepszym tęsknotą. Zosia... ta była najniezwyklejszą. Nie pojmowałam dobrze jakim się to stało sposobem, ale wiedziałam że w kilka miesięcy po moim wyjeździe z domu matki, została żoną pana Henryka. Przypominałam sobie niema jej rozpacz i bezwładną z rozpacz tej wynikającą bierność, w jaką wtrąciło ją zerwanie z człowiekiem, którego kochała i w dziwnem nieszczęśliwym jej zamaż późni, widziałam rękę Lubomira, owego deklamatora jak go nazywała Helenka. Obok tej smutnej doli najlepszych przyjaciółek moich, postawiłam w myśli własną dolę i wydała mi się piękną. Byłam wolną, żadnym lekkomyślnym lub niskim nie zmazana postępkami, byłam dojrzałą umysłem i sercem i wyraźnie widziałam drogę obowiązku i pracy, jaka się otwierała przedemną. Wprawdzie z poczuciem pewnej nieśmiałości patrzyłam na drogę tę wielu najeżoną trudnościami, ale zarazem czułam w sobie wielką moc miłości i przekonania, która mię mężną i ufną czyniła. Znowu pomyślałam o ojcu, bo moc, męstwo i ufność we własne siły jemu byłam winna. Drzwi od przyległego pokoju otworzyły się z eicha i do salonu w którym siedziałam zamyślona weszła moja matka. Wyniosła postać jej przesunęła się wśród zapadającego zmierzchu; usiadła na sofie obok mnie a światło padające z okna oświetliło jej twarz zmienioną. Tak; zmieniła się przez te trzy lata ubiegłe, lubo nie przestała być bardzo piękną i zawsze wyglądała o dziesięć lat młodszą niż była. Ale cera jej pobiadła, na czole pomiędzy dwoma dawnymi osiadła trzecia bruzda, w oczach tkwił wyraz ciągłego, normalny niemal stan jej umysłu objawiającego pomieszczenie. Wyraźne było że usiłowała nie okazać się smutną, ale nie mogła ukryć wyrazu upokorzenia, jakie pochylało dumną zwykle jej głowę i tęsknoty okrażającej pobiadłe usta.

Pomyślałam, że ja to powinnam była stać się dla niej oazą ochładzającą spieczoną jej skwarem nieszczęścia czoło, ogniem rozgrzewającym chłód pustki co ją otoczył. Objęłam ją obu ramionami i pocałunkami okryłam twarz jej i ręce.

Późny już był wieczór kiedy po długiej z Matką rozmowie, siedziałyśmy obok siebie w mrocznym pokoju, słabo oświetlonym pod grubą zasłoną płonącej lampy.

Scienny zegar uderzał jedenastą godzinę. Matka moja złożyła głowę na poduszcze kanapy i po długim milczeniu uściśnęła moją rękę i cicho rzekła.

— Wacławo! opowiedz mi co jeszcze o ojcu twoim!

Zsunęłam się na kolana, objęłam ją ramionami i pochylałam głowę bardzo blisko nad jej bladą twarzą.

— I cóż ci matko mam opowiedzieć o nim? mówiłam: czy opowiem ci chwilę gdy późnym wieczorem przybywając do jego domu, cicha i niepostrzeżona weszłam do jego gabinetu? Pokój ten jest takim samym jakim go zapamiętałam z dzieciństwa. Wkoło ścian piętrzą się półki z książkami różnymi, na wielkim biurze stoją globusy, porozkładane karty, rozrzucone rękopisma; wokoło tchnienie spokojnej i pracowitej myśli. Nie pracował w tej chwili, był bardzo zamyślony. Nie zmienił się prawie od dnia owego w którym odwiózł mię na pensję małą dziewczyną. Czoło ma zawsze wyniosłe i pogodne, tylko kilka podłużnych marszczek zarysowało się między brwiami, a we włosach gdzieś tam srebrzą się nad skroniami nitki białe. Nie wiem o czem myślał wtedy gdy wchodziłam, ale wyglądał tak jakby oczami duszy patrzył gdzieś bardzo daleko, a na ustach miał smutny trochę wyraz. Posłyszał szelest mojej sukni, gdy zbliżyłam się do niego, i spojrzawszy na mnie porwał się szybko z miejsca. Nie jednak zrazu nie rzekł, tylko wziął obie moje ręce, przyciągnął mię do siebie i patrzył na mnie długo. Potem przeciągnął rękę po czole i wymówił: jakże jesteś podobna do twój matki! To było pierwsze słowo jakim mię powitał.

Gdy zaczynałam mówić, matka moja trzymała wzrok w ziemię utkwiony, ale stopniowo podniosła powieki, spojrzała na mnie i nie spuściła już oczu z mej twarzy, tylko dłoń jej coraz mocniej moją rękę ścisnęła.

— Albo może, mówiłam dalej, albo może chcesz moja matko, abym ci opowiedziała, jak przez długi szereg dni, które przeżyłam u niego, był mi przewodnikiem najlepszym i najrozumniejszym, jak kształcił mój umysł i rozwijał fizyczną nawet moc moją, jak dawał mi poznać świat i ludzi, objawiał mi wielkie prawdy i wielkie we mnie wpajał miłości? Czy opowiem ci matko o długich zimowych wieczorach, które spędzałam z nim przy zwołna płonącym na kominie ogniu, słuchając wrzającego za oknami szumu miasta i burz zimowych: albo o wiosennych porankach, gdy ręką w rękę szłam z nim na pola szerokie i przypatrywaliśmy się wschodzącemu słońcu, słuchaliśmy pierwszego świegotu skowronka, i poiliśmy się wonią ziół i krzewów, których nazw i życie on mię nauczał? Śród ciszy wieczornej i przy różnnych błyskach powstającego ranka, imię twoje matko, często, często było na jego ustach.

Umilkłam na chwilę; matka moja zwołna dłoń podniosła i przysłoniła nią sobie oczy.

Coraz czuliej ogarniając ją uściskiem, coraz niżej pochylając się nad jej twarzą, mówiłam dalej.

— W bibliotece mego ojca pod oknem w wazonie z białego marmuru, kwitnie delikatna roślina heliotropu. Była to jedyna roślina jaka przyozdabiała mieszkanie mego ojca, kiedym do niego przybyła. Kilka razy spostrzegłam, że gdy bladoliljowe kwiecie rozkwitło, ojciec mój zbliżał się, patrzył nań i przez chwilę pieścił się jego wonią.

Zdziwiło mię to bo wiedziałam jak jest surowy i obojętny na wszelkie drobnostki i ozdoby. Dla czego tak lubisz tę roślinę, ojczu? spytałam go raz. Zawahał się z odpowiedzią, potem podniósł na mnie oczy i odrzekł ze zwykłą sobie prostotą. Czemuż bym ci opowiedzieć nie miał? Była to ulubiona roślina twój matki, woń jej i barwa, ją mi przypomina.

Przestałam znowu mówić i patrzyłam na matkę



moją ze wzruszeniem. Z pod dłoni którą przysła-  
niała oczy, wypłynęła zwolna gruba łza i opadła na  
moją rękę. Miałażby przyjść ta chwila, której tak  
gorąco przez tyle lat pragnęłam? Miałoż ciche  
opowiadanie moje połączyć nareszcie tych, których  
tak kochałam i którzy także kochali się i tęsknili za  
sobą, a rozdzieleni byli jakimś przykrem wspomnie-  
niem przeszłości, chwilową płochością z jednej stro-  
ny, dumą obrażoną z drugiej?

Po chwili znowu zaczęłam mówić.

— Noc była późna gdy raz zasnąć nie mogłam  
i weszłam po cichu do biblioteki ojca, dla wzięcia  
książki nowej do czytania. Przez uchylone drzwi  
zobaczyłam palące się jeszcze światło w jego gabi-  
necie. Chcąc się dowiedzieć czy nie zasnął, albo  
poprosić by nie pracował tak do późna, weszłam o-  
strożnie na palcach. Siedział przy biurku swoim z  
dłonią opartą na czole, z oczami utkwionymi w coś  
co leżało przed nim. Spojrzałam mu przez ramię...  
na biurku przed nim leżał portret twój, moja matko.

Tym razem przerwało mi nagłe poruszenie mo-  
jej matki; ukryła twarz w poduszkę, milczała i  
tylko po poruszeniu się jej piersi i wilgotnych kro-  
plach co od czasu do czasu spadały na jedwab sukni,  
poczułam że rzęwnie płakała...

— Matko moja! zawołałam biorąc ją w objęcia,  
gdym odjeżdżała ojciec mój wiedząc żeś stroskana,  
odarta z mienia, nieszczęśliwa, polecił mi abym ci  
powiedziała, że jeśli tylko chcesz, dom i serce jego  
zawsze dla ciebie otwarte... że żałuje jeśli zbytecz-  
nem uniesieniem obraził cię i sprowadził wasze roz-  
łączenie... że całe życie czuł brak rodzinnego ciepła  
i szczęścia... że zawsze kochał cię i żadnej innej ni-  
gdy nie kochał kobiety...

Zatrzymałam oddech w piersi i czekałam z wyte-  
żeniem odpowiedzi mojej matki. Drżałam z obawy,  
czy zdołałam wiernie przedstawić jej uczucia mego  
ojca i słowa jego, które jej przeze mnie przesłał po-  
wtorzyć. Czułam, że nie byłam wymowną, bo wzru-  
szenie odbierało moc i płynność moim wyrazom, ale  
spodziewałam się, że czego usta nie zdołały wypo-  
wiedzieć domówią oczy moje i drżące ramiona, któ-  
remi obejmowałam matkę.... Płakała ciągle cicho,  
z twarzą ukrytą w dłoniach, i po długiej dopiero  
chwili, usłyszałam jak z jękiem prawie wypłynął  
z ust jej wyraz: Zapóźno! Potem podniosła się,  
wyprostowała, i w czasie gdy dwa strumienie łez  
płynęły po jej policzkach, powiedziała mi z godno-  
ścią, że nie chce aby ojciec mój posadził ją, iż opu-  
ściwszy go wtedy gdy była bogatą, wraca do niego  
po utracie majątku, iż nie chce aby mógł myśleć:  
że kierowana niskim interesem i obawą ubóstwa,  
przychodzi pod dach jego po dostatek i aby korzy-  
stać z owoców jego pracy; iż powinna była usłuchać  
głosu serca i dawno wrócić do niego, ale skoro przez  
dumą i różne inne rodzinne i towarzyskie względy  
nie uczyniła tego pierwój, teraz już było zapóźno!

Z boleścią słuchałam słów tych, ale cóż na nie od-  
powiedzieć mogłam? Czułam że położenie mojej  
matki było drażliwe, i że na jej miejscu kto wie,  
możebym uczyniła to samo. Lubo znałam uczucia  
dla niej mego ojca, mogłamże ręczyć, że gdyby opu-  
ściwszy go bogatą i świetną wróciła doń ubogą  
i zgębioną, nie powzięłyby tej myśli, tego posadzenia  
którego się tak lękała?

Milczałam więc i nie tracąc przecież nadziei, spra-  
wę serc i losów moich rodziców zostawiłam cza-  
sowi który goi rany, wyświeca prawdy i naprawia  
szkody...

Późna była już noc gdy matka moja zmęczona  
wrażeniami dnia ubiegłego usnęła, a ja długo stojąc  
nad jej łóżem patrzyłam na nią. I coraz mocniejszą  
czułam się do tej przyszłości, która mię z nią i dla

niej czekała, i myślałam w głębi ducha, że role na-  
sze zamieniły się, że ja młoda, silna i wpływem ojca  
mego wyrobiona na nowożytną pracowitą kobietę  
mam zostać wsparciem i opiekunką matki mojej naj-  
lepiej, lecz słabiej i nieczem nieprzygotowanej do  
losu jaki ją spotykał. Myślałam że skoro ją wygna-  
ją z pod rodzinnego dachu, na mnie spocznie powin-  
ność stworzenia dla niej przytułku, zdobycia spoko-  
ju. Patrzyłam w siebie i mierzyłam się z własnymi  
siłami.

Potem otworzyłam okno i pełną piersią zaczer-  
pnęłam powietrza chłodnej lecz suchéj jesiennéj nocy.  
Spojrzałam na ciemne niebo, na wielkimi cieniami  
rysujące się śród zmroku drzewa ogrodowe, i przy-  
pomniałam sobie ile przed kilku laty marzeń moich,  
westchnień i uśmiechów pół dzieciennych uleciało  
przez to samo okno do tego samego kawałka obło-  
ków, pomiędzy tę samą gąszcz ogrodową w której  
głębi śpiewały wówczas słowiki i kwitły jaśminy,  
a śród której teraz w odartych z liści gałęziach, świ-  
stał wiatr jesieni... Nie żałowałam tego co minęło,  
a jednak lekki smutek ozwał się we mnie przy  
wspomnieniu pierwszych rojeń i radości życia...

Takim był pierwszy mój dzień po powtórnej przy-  
byciu mojem do domu matki. Rozpoczynałże on  
dla mnie szczęśliwszą, czy mniej szczęśliwą drogę  
niż ta, którą przebyłam kiedyś? Przyszłość pokazać  
miała.

## II.

Pierwszem mojem zajęciem po powrocie do matki,  
było przyprowadzenie jej domu do jakiego takiego  
porządku i ładu. Wszystko tam zostawało w nie-  
wymownem zamieszaniu i bezrządzie. Matka moja  
i wyobrażenia nie miała o gospodarstwie i sposobach  
zarządzania niemi. Nieliczni domownicy którzy po-  
zostali przy niej po rozproszeniu się licznój dawnéj  
służby, korzystali na wyścigi z wszechwładztwa nad  
domem jakiego używali, i marnowali lub zabierali  
dla siebie pozostałe resztki jej dobra. Tak samo  
dziać się musiało i przed kilku laty, ale jam wtedy  
tego nie widziała.

Teraz więc zakrzatnęłyśmy się obie z Binią około  
gospodarstwa, porządkowałyśmy spiżarnię i komody,  
pisałyśmy rejestra i dzwoniłyśmy kluczami po całym  
domu. Dźwięk ten łącząc się z wesołą naszą ga-  
wędką, wyprowadzał dom ze stanu głuchéj martwoty  
w jakim go znalazłam, i spędzał chmury które na  
widok moich nowych zajęć gromadziły się zrazu  
na czole mojej matki. Dźwigała ona troski swe z pe-  
wną mocą i hardością, która wypływała z wrodzonéj  
jej dumy i szlachetności: nie skarżyła się nigdy i od  
owego wieczora w którym tak serdecznie płakała  
w mem objęciu, przy rozmowie ze mną o moim ojcu,  
ani razu nie zobaczyłam łzy w jej oku. Nie mogłam  
jednak nie widzieć, że w pierwszych dniach po moim  
powrocie, ile razy patrzyła na mnie, piękne jej oczy  
ćmiły się zawsze z całej siły ukrywaną żałością. By-  
łam wtedy pewna, że nie przestała boleć nad omyle-  
niem swych dawnych nadziei, i że myślą przenosiła  
się w czasy, gdy jeszcze spodziewać się mogła że  
świetną zrobię partję. Biedna moja matka! jak tru-  
dno jej było wyrzec się marzeń o téj świetności  
z którą od dzieciństwa się zrosła. A może też czy-  
niła sobie wyrzuty, że zmarnowała mienie któreby  
mi mogło na całe życie świetność tę zapewnić. Albo  
że błędem popełnionym w młodości, nierozwagą,  
uniesieniem, dumą, pozbawiła mię spokojnego ist-  
nienia w rodzicielskim domu, jakie bym prowadzić mo-  
gła, gdyby się była nie rozstała z ojcem moim. Ka-  
żda z tych przykrych myśli z kolei albo i wszystkie  
razem ciążyły jej sercu i głowie. Wiedziałam to ul-

bo mi nigdy nie mówiła o tem i lubo wydawała się  
tak spokojną i dumną jak za najlepszych czasów.  
To też podwoiłam moją wesołość i na każdym kroku  
starałam się okazać nieograniczoną wiarę w przysz-  
łość, aby podobnaż natchnąć moją matkę. Biegałam  
po domu, ustawiałam i opylałam sprzęty, porządko-  
wałam wszystko, śmiałam się i gawędziłam z Binią,  
prześpiewywałam przy każdej robocie swobodną pio-  
senkę, z rana wchodziłam do sypialni mojej matki  
z bukietem jesiennych kwiatów w ręku, wieczorem  
rozpalałam żywy płomień na kominku i usiadłszy  
przy fortepianie, grałam i gawędziłam naprzemian  
starając się zawsze do rozmowy mojej wybierać zaj-  
mujące i wesołe przedmioty. I bardzo szczęśliwą  
się czułam gdy udało mi się wciągnąć moją matkę  
w ożywioną rozmowę, rozśmieszyć ją lub zając ja-  
kiem opowiadaniem, muzyką i wywrzeć na nią wpływ  
uspokajający.

A tak miałam czas zapełniony gospodarskimi ro-  
botami, tak szybko upływały mi godziny i dnie, że  
nawet nie potrzebowałam udawać spokoju; czułam  
go w sobie istotnie i wesołość jaką okazywałam nie  
mię wcale nie kosztowała.

Czasem tylko gdy ułożywszy matkę do spoczynku  
i zamknąwszy jej do snu oczy pocałunkami, sama je-  
dna wracałam do mojej sypialni, niewyraźna trwoga  
mię ogarniała i głos wewnętrzny zadawał mi groźne  
pytanie: czy wydołasz temu zadaniu, które tak hardo  
przyjęłaś na siebie? Czy mężtwo twoje i spokój  
ostoją się w tobie wtedy, gdy zostaniecie obie wy-  
gnane z pod rodzinnego dachu, i pójdziecie w świat  
szeroki na tułanie się pod groźbą ubóstwa i ciężkiej,  
nieustannéj pracy? Wtedy siadałam z głową spuszczo-  
ną na dłonie, i długie godziny rachowałam się  
z własnymi siłami, całą mocą odpędzając od siebie  
obawy i zwątpienia, które przedstawiały mi z kolei  
niedostatek, mozolne trudy i cierpienia matki. Dłu-  
ga jesienna noc kończyła się niekiedy, lampa gasła  
i szary świt znajdował mię niepewną siebie, bladą,  
z czołem tylko rozognionem natłokiem myśli co się  
do głowy cisnęły i niepokojów co ścisnęły serce.  
Wtedy zbliżałam się do okna i patrzyłam jak śród  
mgły podnoszącej się do góry, różnowały pierwsze  
brzaski zarania, jak zwolna i świetnie z za krańców  
widnokręgu występowała tarcza słoneczna i rozpra-  
szała do reszty mrok ustępującej nocy. Patrzając na  
to myślałam sobie, dla ilu to ludzi ten wschód słońca  
rozpoczynał dzień pracy i ubóstwa, ile ta tarcza zło-  
ta w godzinach wspaniałego swego po niebie prze-  
biegu, oświecił miała troski i trudów stokroć cięż-  
szych niż te które mię czekały. I przypominałam  
sobie tę drogę szeroką i daleką o której śniło mi się  
niegdyś, że mię na nią wprowadził ojciec mój i te roje  
geniuszów skrzydlatych unosiły się tam nad tłumami  
wspierając, pocieszając prowadząc i ucząc ludzi  
zmęczonych, spracowanych i rwących się do czynu.  
Więc sen mój spełnionym został: miałam wejść na  
tę wysnioną drogę, która na jawie już teraz otwiera-  
ła się przedemną? Czułam, że nad głową moją za-  
wisł jeden z dobrych geniuszów ludzkości, i szeptał  
mi do ucha słowa zachęty i nadziei... Po takich  
rozmyślaniach nocnych i porannych, i po śnie krót-  
kim wstawałam znowu rzeźwą, ochoczą do pracy,  
zdrową na ciele i umyśle.

Tak upłynęło kilkanaście dni w czasie których p.  
Rudolf był codziennym prawie naszym gościem.  
Bawił zwykle krótko i mówił nie wiele, ale spostrze-  
gałam że ile razy spoglądał na moją matkę lub na  
mnie, oczy jego stawały się bardziej posępne i na  
czole brzd mu przybyszało. Zdarzało się to miano-  
wicie wtedy gdy matka moja dotknięta jakim no-  
wem niepowodzeniem, smutniejszą i bledszą była  
niż zawsze. Wtedy pan Rudolf zsuwał brwi i dziw-  
nym, szorstkim właściwym mu sposobem usiłował



ją pocieszać. Słowa pociechy jednak wyglądały na jego bladych ustach jak kwiaty na grobie. Rzadko też ich używał.

Daleko częściej chwycił za czapkę i wyjeżdżał prawie bez pożegnania. Dziwiło mi wielce to wszystko i coraz wyraźniejsem mi się zdawało, że pan Rudolf poczuwał się do jakiegoś udziału w nieszczęściu jakie spotkało moją matkę. Nie siliłam się jednak na rozwiązanie tej zagadki, bo człowiek ten cały był zagadką dla mnie, ale przyznać muszę zagadką sympatyczną, pomimo wszystkiego co wiedziałam o jego przeszłości i nie korzystnych dlań domysłów, jakie rodziły się w mym umyśle na widok jego współczucia dla mojej matki, zakrawającego na zgryzotę sumienia.

Dziwiło mi także wielce, że p. Rudolf nigdy nie czynił przed nami najlżejszej wzmianki o żonie swjej ani starszej córce. Przestałam jednak dziwić się gdy się dowiedziałam od mojej matki, że pani Rudolfowa i Rozalja od roku stale już zamieszkały w Rodowie, że pani Rudolfowa pomagała związać babce Hortensji bawełnę setnego numeru, i podnosiła jej upadłe na ziemię kłębuszki. Temu się nie dziwiłam bo wiedziałam oddawna, że piastowała ona w sercu swem nadzieję przyciągnięcia ku sobie na tych cieniuchnych niteczkach ciężkiego spadku swjej ciotki. Ale Rozalja? Czyliżby i ona idąc w ślady matczyne, pełzała nisko u tych stóp które tak nielitościwie zdeptały jej szczęście dla tego, aby pieniądz co kiedyś z martwej wypadnie dłoni, zapłacił jej nędznie za wszystkie popełnione błędy i doznane niedole?

### III.

Był to chłodny, mglisty i wietrzny dzień zimowy, siedzieliśmy z matką u kominka i chwytałyśmy uchem dziwne szumy i poświsty wicherów, tłukących się o ściany domu. Matka moja była dnia tego smutniejszą niż kiedy. Owinięta szalami, blada, zasunięta w głąb fotelu siedziała milcząc, z głową opuszczoną na piersi i rękami nieruchomie splecionymi na sukni. Daremnie starałam się ją rozweselić a widząc że mi się to nie udaje, posmutniałam także, umilkłam i patrząc w ogień oczami ściagałam drobne płomyki, które to splatały się z sobą na chwilę, to znowu rozstawały się i powiewały każda w inną stronę i myślałam o tem, jak to na tym świecie ludzie schodzą się z sobą i rozchodzą i tęsnią bez siebie, i gonia, a jednak zejść się już na nowo nie mogą... Weszła służąca (lokajów nie było już w naszym domu) i oddała mojej matce list zdala błyszczący wielką i mocno herbową pieczęcią. Spojrzawszy na adres matka moja lekko krzyknęła i zarumieniła się, a w oczach jej zabłysł wyraz nadziei zarazem i trwogi.

Drżącemi nieco palcami rozłamała pieczętkę, ale nie zaraz wydobyła list z koperty tylko opuściła wraz z nim ręce na kolana i podnosząc wzrok na mnie wyrzekła.

— Od babki Hortensji.

Zdziwiłam się ale zarazem i uradowałam w głębi mego serca. Przemknęła mi po głowie myśl, że może babka czyniła pierwszy krok do pojednania, a pojeđnanie był to w owęj porze mego życia wyraz najwięcej mający dla mnie uroku. W czasie więc gdy matka moja pismo odczytywała, niespokojnem okiem ściagałam wyraz jej twarzy, aby się z niego o treści listu co najprędzej dowiedzieć. To jednak co zobaczyłam nie mogło mię ucieszyć, bo na czoło mojej matki wystąpił naprzód szkarłatny rumieniec, potem zastąpiła go zdwojona bladeść i gorzki uśmiech zawisł na jej ustach. Skończyła czytać, stłumiła we-

stehnienie i milcząc podała mi list do przeczytania. Zaledwie rzuciłam nań okiem poznałam, że nie był pisany ręką babki, a tylko u dołu w pysznych gzygzakach, zdala na herb wyglądających, tkwił własnoręczny jej podpis. Cały zaś list skreślony był nieznanem mi pismem o ostrych liniach liter, z których każda miała kształt śpiczasto zaostrożonej śpilki albo drobnego gzygzatowatego wężyka. Nie wiem czemu zdawało mi się, że pomiędzy wierszami tego kolącego i pełzającego zarazem pisma, błyszczały w nieśmiertelnym pokazywane uśmiechu dwa rzędy białych ostrych zębów.

Przebiegłam list oczami i zrozumiałam dla czego czytając go matka rumieniła się i bladeła na przemian. Babka Hortensja w dumnych i suchych wyrazach oznajmiała mojej matce, iż wiedząc o jej krytycznem położeniu poświęca urazę, jaką ma do niej i ofiaruje jej miejsce w swoim domu z warunkiem, aby nie spodziewała się tam znaleźć nic innego tylko dach gościnny chroniący ją od nędzy, któraby honorowi familji ujmę czyniła. O mnie żadnej w liście nie było wzmianki.

Kilka chwil patrzyliśmy na siebie w milczeniu....

— A więc ofiarują mi jałmużnę, wyrzekła w końcu moja matka, gorzej niż jałmużnę, dodała, bo kęs chleba rzucony nie z litości, nawet nie przez współczucie ale dla ochronienia honoru familji, której jestem członkiem...

— Nie przyjmiesz jałmużny tej, moja matko... zaczęłam.

— Zdaje mi się że powinnam ją przyjąć przez wzgląd na ciebie, przerwała spuszczac oczy, gdy będę mieszkała w Rodowie ty spokojna odjedziesz do twego ojca.

Przypadłam do jej kolan i z czułością czyniłam jej wyrzuty, iż posadzała mię o takie samolubstwo, o taką słabość. Mogłabymże kiedykolwiek zaznać spokoju wiedząc o tem, że ona pozostaje na łasce swjej dumnej i zimnej ciotki, a do tego wystawiona na ciągłe zetknięcie się z temi dwoma rzędami białych ostrych zębów, które dziś panowały w Rodowie?

— Wiem o tem że jesteś najlepszem i najodważniejszym w świecie dzieckiem, odparła moja matka, niemniej jednak jesteśmy obie dwoma tylko słabymi kobietami a ubóstwo, Wacławo, nędza, ciągłe trudy około powszedniego chleba rzecz to straszna...

Znowu spuściła oczy i widziałam wyraźnie, że uczyniła to aby ukryć wstyd i obawę jakie w nich migotały. Lękała się i wstydyła się tego że się lękała. Poczucie trwogi zwyciężyło jednak wrodzoną jej hardość, bo po raz pierwszy posłyszałam cicho wypływający z jej ust wyraz: O jakże się boję!...

Zadrżałam w głębi. Śmiała ale niedoświadczona we wszystkich zwątpieniach i obawach własnych, nie przewidziałam tego co teraz stawało przede mną. Nie przewidziałam trwogi mej matki. W mgnieniu oka objęłam cały ogrom trudności jakich doświadcze w przełamywaniu tego jej poczucia. Przebiegłam myślą przeszłość mej matki świetną, ustrojoną, bawiącą się, zbierającą hołdy, przebyłą wśród ścian ozdobnych salonów, na wygodnych fotelach aksamitem obitych, w powozach zaprzężonych rączy mi końmi, w próżniactwie bawiącym się marzeniami i balami, przeszłość która nie miała w sobie ani jednej minuty mogącej przygotować ją do twardej doli ubóstwa, przeszłość co ją wychuchała, rozpieszczała, rozmarzyła co nadwężyła hart jej wrodzony, zaćmiła czystość pierwotną jej duszy i pojęłam, że przyszłości takiej nikt nie ponosi bezkarnie. Odrzucić ją i wykroić z życia trudno, w obec zmiany losu, przeszłość ta przyczepia się do człowieka który ją ma za sobą, ujmuje go w kleszcze zgryzoty i za-

lów i ciało jego rzuca na pastwę męczarniom a ducha miazdzy pod ciężarem niepowrotnych wspomnień. Pojęłam że ubogiemu łatwiej jest zostać na zawsze ubogim, niż bogaczowi stąpić z pozłacanych szczytów na twardy grunt biedy i pracy. I zlekkałam się dla mojej matki smutnego przeznaczenia podupadłej wielkości, która nigdy pogodzić się ze swym upadkiem nie może, i do ubóstwa materji jakim podlegać musi, dokłada ubóstwo ducha omdałego wśród próżnych żalów i jęku.

Odeszła, a ja długo jeszcze siedziałam przed dogasającym ogniskiem ze wzrokiem utkwionym w czerwono żarzące się węgle. Na pamięć przyszedł mi ów wieczór podobnie przepędzony przed płonącym ogniem w przeddzień puszczenia się mego w świat, przy blaskach światającej mi naówczas jutrztenki życia i owe marzenia o zabawach, miłości i weselu, co wtedy napełniały moją płożą dziecinną głowę. Myślałam jak pierwsze zaranie różnem często bywa od południa życia, jak nikomu nie wolno zaufać pogodnie wschodzącej zorzy, gdy za nią w oddali suną się może ciężkie ołowiane chmury, co zaćmią widnokrąg i marzenia motyle podnoszące się do góry, przycisną do ziemi twardej jak ziemskiego bytu warunki i powinności.

Zegar uderzał popółnocną godzinę, gdy powstałam z zamyślenia i udałam się do mojej sypialni. W głowie mojej tkwiło silne postanowienie ale czułam, że na myśl o niem, gorący rumieniec uderzał mi do twarzy. Postanowiłam pojechać nazajutrz do Rodowa i starać się przejeđnać dla mej matki babkę Hortensję. Była to może największa ofiara jakiej dopełnić mogłam, bo wymagała ode mnie zupełnego zapomnienia o własnej dumie, znizenia się do tłumaczeń i proźby. Ale czułam że nie wolno mi było wchodzić w targ z obowiązkiem; miałam prawo rozrządzać własną dolą i osobą i odważnie a nawet z rodzajem radości przystępować do walki z losem, ale nie powinnam była zaniedbywać nic, co by mogło choć w oddalonem prawdopodobieństwie przedstawiać dla mojej matki środek ratowania ją od niedostatku, trudów, trosk i gorszego nad to wszystko żalu za przeszłością, a gorzej jeszcze nad żal ten bojaźni o przyszłość..

Postanowienie moje było silnie powzięte a jednak przez całą noc oka zamknąć do snu nie mogłam, i często bardzo dla uspokojenia się i wzmocnienia przesuwając musiałam przed wyobraźnię spokojną postać mego ojca, i tę tak błogą i płodną dla mnie w owoce porę, jaką u boku jego przebywałam.

Nazajutrz z łatwością przyszło mi pod wymyślonym pretekstem zakryć przed moją matką prawdziwy cel mej podróży. Nie chciałam zaś wyznać przed nią prawdy dla tego, aby bardziej jeszcze nie zakłócać jej spokoju i w razie niepowodzenia, nie wzbudzać w niej nowych żalów i goryczy. Przed południem wsiadłam do kabrioletu zaprzęzonego jedyną parą pięknych koni jaką matce jeszcze została, i za bramą powiedziałam farmauowi aby mię wiozł do Rodowa.

### IV.

Wielki stary dom z dumną powagą zdawał się drzeć w głąbi malowniczej doliny. Nad nim jak dawniej, odwieczne jodły rozpościerały ażurową zasłonę z ciemnych a grubych uplecioną gałęzi. W koło doliny stały te same wzgórza o porośniętych gajami i borem wierzchołkach, wzgórza na które przed laty z takim upragnieniem rwała się młodziuchna myśl moja zamknięta na klucz zwyczaju w wielkich mrocznych szufladach moich babek. Na polu w oddali zdawało mi się, że rozpoznawałam ten sam, bujny



i rozłożysty krzak róży dzikiej, której niegdyś tak zazdrościłam cichych obszarów na jakich rosła, słodkiego powiewu co przylatywał do niej od wzgórz; borów, i świegocących ptaszków, które dziobały radośnie jej pąsowe kwiecie.

Z tłumem wspomnień w głowie, w sercu z rzewnością towarzyszącą zwykle obudzonym pierwszych lat życia pamiątkom, zajechałam przed ganek Rodowskiego domu. Długie rzędy wysokich a wązkich okien, szybami z zimnego kryształu zdawały się patrzeć przed siebie sztywnie a chłodno, przymus i chłód niewymowny powiał na mnie od nich, i czułam że bledsza trochę niż zwykle przestępowałam próg bawialnego salonu babki Hortensji.

Olbrzymia szuflada nie zmieniła się w niczem. Cztery jednostajne kanapy ze swemi jednostajnymi stolikami, fotelami i lampami stały na czterech jednostajnych dywanach. W górze dwa ogromne żyrandole rozpuszczały szerokie ramiona, obwieszane kryształowemi wiszadłami, wybornie naśladowanymi długie cypłe lodowe. Nad oknami złożone jastrzębie trzymały w dziobach i szponach firanki z ciężkiego aksamitu, cięższą jeszcze złotą frendzlą pooszywane i gęstą draperją przysłaniające okna więcej jak do połowy. Pomimo że było to zaledwie w parę godzin po południu, półmrok napełniał salon i zrazu wydało mi się że nie było tam nikogo. Lokaj który mię był wprowadził odszedł, a ja będąc pewną że się znajduję sama, postąpiłam na środek salonu, aby wybrać sobie miejsce najstosowniejsze do oczekiwania. Na jednym ze stotyków zobaczyłam srebrny koszyk pełen bawełny sełnego numeru, w koło niego leżał stos kółeczek, gzygaczek i gwiazdeczek, widocznie babka Hortensja siedziała przed chwilą w tem miejscu i robiła frywolitki. Tuż obok stał niski taburecik, na którym leżała porzucona batystowa chustka z pysznie wyhaftowaną cyfrą pani Rudolfowej. Widocznie więc ta pani o dwóch rzędach białych zębów siedziała przed chwilą u nóg babki Hortensji. Musiała czytać jej na głos, bo przed taburecikiem na stole zobaczyłam roztwartą książkę. Rzuciłam na nią okiem, było to *Naśladowanie Chrystusa*. Tak, babka moja była pobożną i przypomniałam sobie w tej chwili ową prowadzoną niegdyś w Rodowie rozmowę, w której każdy opowiadał wyobrażenia swe o szczęściu, babka wyraziła wtedy mniemanie, że znaleźć je można najłatwiej u stóp Ołtarza. Teraz zaś widocznie zajmowała się czytaniem ksiąg pobożnych tak stosownych dla umysłu kobiety, która już stała nad brzegiem mogiły. Mimo woli obok pełnej zaparcia się i miłości księgi, stanęła mi w oczach dumna i sucha postać babki Hortensji i przebiegła, chytra, nieśmiertelnie uśmiechniona pani Rudolfowa. Dawniej ten zbieg wyobrażeń wprowiłby mię w zdziwienie i niepokojem napełnił duszę, pragnącą sprowadzić wszystko do harmonji prawdy, teraz uśmiechnęłam się tylko smutnie, ale nie poczułam ani oburzenia ani trwogi. W długich studjach odbywanych ręką w rękę z ojcem moim, nauczyłam się patrzeć na świat, poznałam jego harmonje i rozumiałam dźwięki.

W przeciwległym końcu salonu posłyszałam szelest, zwróciłam się prędko w tę stronę i tam gdzie aksamitna firanka najgęstszy cień rzuciła, zobaczyłam kogoś siedzącego na fotelu. Rysów rozpoznać nie mogłam, z powodu zmroku i oddalenia, niemniej jednak dojrzałam parę czarnych oczu palących się jak żużle i skierowanych w stronę w której stałam. Postąpiłam kilka kroków, osoba siedząca na fotelu powstała zwolna, przyczem zobaczyłam wysoką i smukłą kibić, a gdy także postąpiła parę kroków poznałam że była to Rozalja. Zwolna zbliżyłyśmy się ku sobie i jednocześnie podałyśmy sobie ręce. Chcia-

łam serdecznie uściskać dłoń kuzynki, ale palce jej sztywne i chłodne zlekka tylko dotknęły moich. Nie zaczynała mówić i milcząco wpatrywała się we mnie, ja także patrzyłam na nią. Tyle wspomnień, tyle rozważyć obudziło się na jej widok!

Zdawała się należeć do rzędu kobiet, które nigdy nie szpetnieją, bo lubo miała już lat 28 wyglądała zupełnie tak, jak gdyby przed czterema blisko laty po raz pierwszy ujrzała. Śniada cera jej gładka była i świeża, usta jednakowo pąsowe, czarne brwi tak samo jak dawniej podnosiły się w harde łuki, a na czole rozpościerał się ten sam marmurowy drgający niekiedy tłumionymi burzami spokój. Oczy jej tylko zapadły nieco i silniej gorzały, a wśród bogatych spłotów kruczonych włosów, zawsze jednak z hardą prostotą odrzuconych nad czołem, srebrzyły się gdzieś niegdzie białe niteczki. To zagłębienie się wrzających ogniem źrenic i te srebrne nici dziwnie sprzeczące się ze świeżością twarzy i kruczą czarnością olbrzymich warkoczów, obok lekkiego wychudnięcia kibiści co pokazywało ją jeszcze wyższą niż była, rzucały na całą powierzchowność Rozalji piętno nieokreślonej tragiczności, z której buchało technienie zgryzot, targań się i prac, wewnętrznych walk, upadków, rozpacz, słowem całego tego arsenału oręży, jakimi przeznaczenie wiedzie bój z duszami ludzkimi. Spuściła powieki, długie rzęsy zadrgały na policzkach ruchomymi cieniami i nie patrząc na mnie zaczęła mówić.

— Nie spodziewałaś się znaleźć mię tu, Wacławo? Nieprawdaż że się tego nie spodziewałaś? A widzisz! lepszą jestem jak ci się zdaje i zamieszkałam w Rodowie, aby osłodzić i rozweselać ostatnie lata babki Hortensji. Wzniosłego dopełniłam postępu nieprawdaż śliczna kuzynko?

Gdy wymawiała te słowa, mnie się wydało jakoby była jeszcze 17 letnią dziewczką, na wpół ze zdziwieniem na wpół z obawą słuchającą tego głosu pełnego gorzkich sarkazmów, narzuconych obłonką pokornej słodyczy.

— Wszelki postęp, spokojnie odpowiadałam, wzniosły jest albo niski nie tyle według celu do jakiego zmierza, jak według źródła które mu byt nadało.

Rozalja zaśmiała się po cichu, usiadła na fotelu, ręką wskazała mi miejsce naprzeciw siebie, a szczególny uśmiech ust jej nie opuszczał. Gdy usiadłam popatrzyła na mnie kilka sekund i ozwała się tym samym co pierwój głosem.

— Widzę miła kuzynko, że spędziwszy trzy lata z uczonym swym ojcem, nabrałaś umysłowej skłonności do analizy, spekulacji, dochodzenia przyczyn i skutków, celów i źródeł, że słowem w ślicznej swę główce umieściłaś alembik przez który przepuszczasz sprawy tego świata, tak prawie jak lokaj nasz filtrujący zapewne w przedpokoju wodę, którą ma podać do stołu. Doprawdy, zazdroszczę ci tego głęboko filozoficznego rozumu, do którego sama nigdy dojść nie mogłam. Ale i cóż w tem dziwnego? Ja sobie jestem prostą wiejską dziewczyną, a ty panną wysoko wykształconą, światową, rozumną. Daruj więc mojej prostocie i pozwól że cię zapytam o sekret tego prawidłowego myślenia, uczucia i postępowania, którego widzę w tobie tak świetny przykład.

Gdy skończyła patrzyłam na nią przez chwilę tak spokojnie, że jakby nie mogąc długo znieść mego spojrzenia spuściła oczy. Niemniej jednak brwi jej harde zakreśliły łuki, a po ustach ślizgał się uśmiech dziwnie spletaną słodyczy i złościwości.

— Jakiegokolwiek przypisujesz mi zmiany, ozwała się, widzę że sama nie zmieniłaś się wcale. Sądziałam, że lata które ubiegły od ostatniego widzenia się naszego, uspokoiły cię i pogodziły ze światem i ludźmi. Tymczasem znajduję, że czas nazwany

przez niektórych balsamem na rany ludzkie, dla ciebie był zatrutym ostrzem który je rozogniał...

Przy tych wyrazach moich twarz Rozalji zmieniła się nagle. Szyderstwo i złościwość zniknęły bez śladu, a zastąpił je cichy przenikający smutek...

— Tak, rzekła po chwili milczenia, masz słuszość kuzynko. Czas, ten wielki grabarz uczuć dla dusz małych i miękkich, w mojem życiu ma znaczenie teleskopu, który oku ludzkiemu pokazuje na niebie gwiazdy stokroć większe, niżli je bez niego widzieć mogło. Im dłuższą jest perspektywa dni i lat przez którą na przeszłość moją patrzę, tem więcej wzrasta i rozszerza się uczucie, które z tej przeszłości wyniosłam... tem głębiej w sercu nurtuje złe jakie wśród niej powstało... a za mną jak za człowiekiem rysujący się na ścianie cień jego własny wysoki i ciemny, stoi mój błąd... Ostatnie wyrazy wymówiła z krwistym na twarzy rumieńcem, ale bez śladu pokory lub zawstydenia.

Owszem czoło podniosła hardo a źrenice utkwiała w szarą głębię salonu, jakby tam widziała tę przeszłość swoją, której rozmiary powiększała przed nią długa perspektywa upłynionych dni i lat, tak jak teleskop powiększa rozmiary błyszczących ciał niebieskich.

Dziwna ta istota oblekała się pokorą wtedy tylko, gdy mówiła o sobie samej, ale gdy wspominała o jedyniej miłości która pochłonęła całe jej życie, stawała się dumna i niemal wyzywająca. Co było w niej prawdą a co udaniem? Pokorę kłamała czy hardość? Patrzyłam na nią z ciekawością i pragnęłam z całej siły wnikać w tę stojącą przede mną zagadkę duszy o tak powikłanych, zgniecionych losach i pociemniałych od cierpień uczuciach. Wszakże czułam przedewszystkim litość nad nią, a widząc że zapadła w zamyślenie i zdawała się zapominać o mojej obecności, wzięłam jej rękę i chciałam ją pociągnąć do siebie. Ale żywo wysunęła dłoń z mego uścisku i odsunęła się ode mnie.

— O proszę cię, kuzynko, zawołała ze zwykłym sobie cichym chychotem, nie myśl tylko litować się nade mną! Jesteśmy tak niepodobne do siebie... Przed kilku laty nazywałam cię kryształowem dzieckiem, teraz wyglądasz na posąg z białego marmuru obdarzony wewnątrz punktualną jak zegarek maszyną. Co do mnie, nie przestałam być biedną dziewczyną ulepioną z prostej gliny, ożywionej bardzo niesforą krwią a niesforniejszym jeszcze duchem, i tak jak uwielbiałam niegdyś twoją kryształową przezroczystość, tak teraz chylę czoło w podziwie przed posagowemi kształtami marmuru, z jakiego wydajesz się być wykutą. Ale koniec końców nie wspólnego z sobą nie mamy. Ty jesteś poważna, spokojna, uczona, marzysz pewnie o wielkich cnotach, wzniosłych celach, myślisz o czystej, rozsądnej, uprawnionej przez kościół i świat miłości, a ja? ja jestem szalona dziewczyna, która w zaraniu życia swego jeszcze rzuciła całe serce swe na burzliwą falę jednego nieszczęśliwego uczucia, a uczucie to któreby może nikczemnem było gdyby nie było wzniosłem, zmiażdżyło mię, rozszarpało, wiodło na Bóg wie jakie drogi, przyprowadziło nakoniec do stóp babki Hortensji i kazało mi podnosić dla niej kłębuszki z pod kanapy dla tego, aby kiedyś jej pieniądz podniósł z upadku i nieszczęścia mnie człowieka którego kocham. Widzisz więc, że darmo litowałabyś się nade mną... litość bez zrozumienia to jałmużna bez wartości a ty mię zrozumieć nie możesz, bo między nami nie ma nic wspólnego...

Gdy przestała mówić ja znowu łagodnie wzięłam jej rękę.



— Mylisz się Róziu, rzekłam, jest coś co tworzy między nami wspólność i podobieństwo.

— I cóż to jest? powiedz miła kuzynko, bo tak pragnę być do ciebie podobną, że pałam niecierpliwością... przerwała z właściwym sobie uśmiechem pokory, niedowierzania i złośliwości, ale wargi jej drżały i widocznym było, że w słowach które pragnęła przyoblec tonem szyderstwa, pomimo woli jej może wiele było prawdy.

— Tem czemś, co nas podobni do siebie czyni, odrzekłam, jest wrodzona nam obu szlachetność... Podniosła na mnie wpółdziwione wpółrozgniewane oczy i przerwała ze śmiechem.

— Żartujesz sobie ze mnie kuzynko...

— Szlachetność, kończyłam nie zważając na przerwę, przez którą ja przebaczam ci, współczuję i rozumiem cię a która w tobie wiedzie ciągle bóg z namietnością, co cię porwała i nie daje pogodzić się z poniżeniem w jakie popadłaś...

Patrzyła na mnie długo i jedną rękę pozostawiając w mojej dłoni, drugą podniosła i przycisnęła do serca. Oczy jej i gest wyraźnie mówiły: — odgadłaś, przeniknęłaś mię, gdybym nie była szlachetną w gruncie byłabym spokojniejszą, i kto wie? czybym już dotąd nie dościsnęła mego celu. W spojrzeniu i geście Rozalji wyczytałam tę odpowiedź jaką myśl jej dawała słowom moim, ale nie wymówiła jej ustami. Owszem cofnęła mi po chwili swą rękę, zaśmiała się i rzekła:

— Kiedy mówiłam śliczna kuzynko, że u boku mądrego ojca twego który podobno ze skalpelem i mikroskopem ma do czynienia, nauczyłaś się tych samych narzędzi używać do misternego przyglądania się duszom ludzkim, nie myliłam się...

— Nie myliłaś się, przerwałam z uśmiechem, tylko że zamiast skalpela i mikroskopu, używam do przypatrywania się ludziom miłości, jaką mam dla nich...

Zaśmiała się głośniejsz jeszcze i zimniej jak wprzód.

— Miłości! zawołała, o! przyznaj piękna, mądra i cnotliwa kuzynko że to co się skłania do tak misternego rozpatrywania się w mojem wnętrzu, jest nie miłością ale ciekawością! Jesteś zapewne ciekawą wiedzieć, jak to tam w piersi biednej grzesznej kobiety odbywa się wrzący i szumiący proces walk i namietności, ty, w której pierś natura wstawiła zegarek o regularnie ruszających się kółkach i sprężynach! A może pragniesz także obok swój własnej światłości, postawić cień cudzy, i mieć wysoką przyjemność wzrastania w swych własnych oczach na widok cudzego upadku! Takeście wy wszystkie, wy kryształowe, posagowe, niepodzielane istoty! Lubicie przypatrywać się upadłym i pociemniałym, ale dla tego aby móżdżek chętnie się sobą i pogardzać innymi. Mówiła to z tak bolesnem połączeniem szyderstwa i goryczy, że czułam się głęboko dotkniętą i zdaje mi się, iż łza wypłynęła mi na rzęsę.

— Róziu! rzekłam, pamiętasz może jak kiedyś powiedziałas mi, że występniymi i słabymi pogardzają tylko ludzie źli do gruntu, albo dzieci nierozsądne i nie znające dziwnie pogmatwanych spraw tego świata. Otóż zdaje mi się, jestem nawet tego pewną, że ja ani do złych ani do nierozsądnych nie należę. Cieszę się gdy mogę uwielbiać, smutno mi gdy naganiać muszę, a nie pogardzam nigdy.

— Widzę prawdę w twych oczach i słyszę ją w głosie, cicho szepnęła Rozalja. Powiedźże mi, dodała po chwili, czy nie pogardziłaś mną i wtedy gdy ci powiedziano, że mieszkam tu w Rodowie i wraz z matką staram się o bogate dary albo o sukcesję babki Hortensji?

— Nie, odpowiedziałam pewnym głosem, nie po-

gardziłam tobą wtedy nawet, gdy się dowiedziałam o tem, bo zrozumiałam, że musiałaś ogromnie walczyć sama z sobą nim to uczyniłaś, a gdzie jest walka tam jest dramat, tam może być występki nawet, ale nie ma nikczemności...

Rozalja porwała się z miejsca i stanęła przede mną z ogniem w źrenicach, z dłonią przycisniętą do czoła.

— Dziwna z ciebie istota! zawołała, zawsze zwyciężyć cię musisz! Tak, widzę że odgadłaś jak z całej mocy usiłowałam przestać kochać człowieka, który mnie nie wart a nie mogłam, jak szarpałam się aby się podnieść a coraz głębiej zapadałam, jak nieszczęście jego coraz silniej mię do niego przywiązywało, jak widywałam go niekiedy a po każdym widzeniu tęsknota za nim zjadliwiej wygryzała mi serce. I to jeszcze odgadłaś może, iż postanowiłam raz już zakończyć te męczarnie nas obojga, i zdobyć na babce pochlebstwem i poniżeniem się to, czego nie otrzymałam uczciwą szczerością i otwartą prośbą. I może przeniknęłaś cały wstyd jaki mię ogarnął, gdy ujrzałam że z hardój i niezależnej dziewczyny jaką byłam, stałam się służą i rezydentką, której obowiązkiem było udawać miłość i cześć i posłuszeństwo i pokorę. Ponieważ jesteś tak przenikliwa i mówiłaś przed chwilą o walkach i szlachetności, toć pewno domyślasz się i tego, że byłabym już dawno dopięła swego celu i otrzymała garść złota na kupienie spokoju sobie i jemu, gdyby nie bunt duszy co mi z niewolnictwem i służebnością pogodzić się nie dają. Niekiedy przykrzy mi się całować rękę dla której nie mam miłości, i wyglądam tak jakbym ją zamiast pocałować ukąsić chciała. To znowu czuję, że mnie kark boli od nachylania się po upadłe kłębuszki i prostuję go hardo... a hardość tu nie popłaca i psuje mi srodze interesa. Cóż robić? nie posiadam zręczności, jednostajności humoru i nieśmiertelnego uśmiechu mojej matki, ona zaś posiada to wszystko zapewne dla tego, że w niej nie ma walki. O! nie ma tam walki, bądź pewna a więc jak wynika z twoich słów poprzednich, nie ma i dramatu.

Urwała nagle, odetchnęła ciężko i zaraz znowu mówić zaczęła.

— U mnie zaś według twego własnego zdania, jest walka i jest dramat, to też bywają i bunt przeciwko tej ręce która tego tylko wymaga, aby ją bezprzestannie słuchano jak Boga i czczono jak Boga, a ona za to jak Bóg obiecuje według swój woli rozdawać podwładnym szczęście lub nieszczęście, za pomocą klucza od swój szkatułki, którą zamyka przed temi co są zbyt otwarci, a otwiera tym co się hermetycznie na klucz zamykać umieją... Ja na żaden sposób nie potrafiłam dotąd zamknąć się, i choć kiedy niekiedy na chwilę nie pokazać tego co się we mnie dzieje.... To też wszystko co czyniłam dotąd darmo czyniłam, i myślę doprawdy, że prędko bardzo uczynię odwróci i pojedę sobie stąd tak jak przyjechałam, w mojej czarnej wełnianej sukience i z moją czarną zgryzotą w sercu... Ale tymczasem jestem tu, a gdy zobaczyłam przez okno że przyjeżdżasz, nie zważałam na to że matka moja co prędzej wyprowadziła ztąd babkę abyś się z nią zobaczyć nie mogła, i że obie rozkazały mi oddalić się, bo matka moja sama jedna chciała się z tobą rozprawić. Ale zostałam bo wewnątrz coś mi mówiło i krzyczało, abym stanęła przed tobą nie obłudną, nie z uśmiechem słodyczy i miłości, jak zapewne w krótkce pokaże ci się moja matka, ale taką jaką jestem złą, szaloną, wzburzoną ale w gruncie ach! w gruncie duszy... prawdę powiedziałaś Wacławo... szlachetną... Odgadłaś to wszystko nieprawdą? i pomimo to a może właśnie dla tego, ściskasz moją rękę i patrzysz na mnie twymi czystymi oczami,

tak jakbyś patrzyła na siostrę... O, patrz tak dłużej... nikt tak na mnie nie patrzy... nikt mię nie kocha i nie rozumie...

Długo patrzyłyśmy na siebie w milczeniu i rozmawiałyśmy z sobą wzrokiem. Nagle w czarnych oczach Rozalji zapaliły się tężowe połyski, były to dwie łzy które wypłynęły z pod powieki i oszklify źrenice. Pochyliła się i obie dłonie położyła na moich ramionach.

— Zwyciężyłaś mnie po raz drugi, wymówiła z cicha; niegdyś zazdrościłam ci bogactwa i ukochanego człowieka, a ty dobrocią swą zmusiłaś mię do tego abym cię pokochała... Teraz pozazdrościłam ci twojej cnoty, nieskazitelności, twego marmurowego spokoju i znowu cię nie lubiłam, bo byłam pewna że pogardzisz mną, która jestem tak niepodobną do ciebie... Nie wiem co masz w sobie takiego, ale znowu powiedz mi maszę, że jesteś dobrą... Nachyliła się jeszcze bardziej i gorące usta przytknęła do mego czoła.

W tej samej chwili rozchyliła się pasowa portjera, z za której przed kilku laty poraz pierwszy zobaczyłam wychodzące naprzeciw nas obie moje babki. Tym jednak razem ukazała się z za niej jedna tylko postać kobieca, ubrana w kosztowną suknię zielonkawatego koloru, w biały czepeczek z koronek i atlasowych wstążek, włożony na czarne pretensjonalnie uczesane włosy, z twarzą okrągłą, bardzo śniadą, ozdobioną parą oczów czarnych i biegających i dwoma rzędami białych jak śnieg zębów pokazujących w uśmiechu.

Była to naturalnie pani Rudolfowa. W progu jeszcze zobaczyła pocałunek jakim mię obdarzyła Rozalja, oczy jej żywiej błysnęły, usta szerszym jeszcze rozszerzyły się uśmiechem, podbiegła żywo i zawołała bardzo uprzejmym i wesołym tonem:

— Otóż to lubię kiedy dwie tak bliskie krewne, po długim niewidzeniu się w podobnie czuły witają się sposób! Ależ bo jak szczęśliwą myśl miałas, kochana Waciu przyjeżdżając dziś do nas. Pojźże drogie dziecię, niech cię uścisknę.

I postępowwała ku mnie wyciągając oba ramiona i błyskając czarnymi oczami i białymi zębami. Słodka czuła tołpowitanie, przykrzejsze daleko wywarło na mnie wrażenie, jak ostrość i sarkazm z jakim spotkała mię Rozalja. Odpowiedziałam też p. Rudolfowej kilku wyrazami ściśle tylko grzeczności, i udając że nie widzę wyciągniętych do mnie jej objęć, po prostu podałam jej rękę. Ścisnęła ją mocno w pulchną bieluchną dłoń, potrząsnęła nią kilka razy z ciągłym akompaniamentem powtarzających się a raczej nigdy nieustających uśmiechów, i pociągnęła mię do kanapy na której posadziła mię i sama obok mnie usiadła. Rozalja zaś opuściła się z wolna na zdala i w cieniu stojący fotel, spuściła powieki, oblekła się całą tym marmurowym spokojem jaki z niej niby maska spadał w chwilach wygnętrzeń i wzruszeń, i zdawała się być zupełnie obcą temu cośmy z jej matką robiły lub mówiły.

Pani Rudolfowa usiadłszy na kanapie nie wypuściła mój ręki, trzymała ją ciągle w silnym uścisku i patrzyła mi w oczy z przymileniem.

(d. c. h.)



## MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońska.

(Dalszy ciąg).

Milczenie nieprzerwane kilka minut potrwało. Potem Lady Lundie zażądała listu Bianki, przeczytała go, odłożyła na stronę i zamyśliła się.

— Biedna Bianka! szepnęła z westchnieniem, byłam dla niej niesprawiedliwą, tak, bardzo niesprawiedliwą.

— Pani sądzisz, że ona nie wie o zdradzie Arnolda? zapytała mistress Glenarm.

— Jestem tego pewna, bo czyliżby o tej nędzniczy wspomniała, jak to czyni w tym liście, gdyby wiedziała co zaszło? Złudziła biedaczkę, widzę to jasno, Arnold i sir Patrik połączyli się, by nam ukryć prawdę. Biedne dziecko! Biedna moja Bianka! Winna jej zadość uczynienie, skoro nikt jej oczów nie otworzył, ja tego dokonam. Sir Patrik przekona się, że Bianka ma we mnie rzeczywistą opiekunkę.

Przy słowach tych uśmiech szyderski na wskroś przewrotną kobietę, przemknął nagle po jej licu. Mistress Glenarm go dostrzegła i zdziwiła się, bo lady Lundie po za obłąkami niewiasty pełnej godności, wcale przyjemnego nie czyniła wrażenia.

— Uspokój się pani! błagała — przerażasz mnie.

— Wybacz pani zranionemu uczuciu, odrzekła lady z przybraną już łagodnością w głosie, cios ten przybił nadszpiegowanie biedną, chorą kobietę, nie podejrzliwą w niewinności swojego ducha, a nadto i dotkniętą doznana obrazą. Nie chcę pani zasmucać. Podźwignę się znowu, a muszę wszystkie zebrać siły, bo nie mam nikogo prócz samej siebie, wśród klęsk tych i przepaści występku. Dla dobra Bianki muszę wyświecić wszystko aż do dna. Bianka winna zająć stanowisko jakie jej przynależy. Nie to nie znaczy co cierpię i jakie ponoszę ofiary, a Bianka musi z prawem swoim wystąpić pod opieką moją. Jest to zapewne trud wielki dla mnie słabej kobiety, lecz dokonać go trzeba, i dokonam go ręczę za to.

— Ale cóż pani zrobisz? Wszyscy daleko ztąd mieszkają.

Lady Lundie dotknęła się z lekka ramienia mistress Glenarm wachlarzem.

— Mam i ja wielkie udręczenia, kochana pani. Ta kobieta była guwernantką Bianki, tutaj w moim domu. Uciekła nagle.... pod pozorem, że jest zaślubioną tajemnie, muszę więc wykryć wszystko i wysledzić pozakulisowe sprawy pana Brinkworth. Dojdę prawdy wbrew ludziom, których ta sprawa w najgorszym stawia świetle, a którzy mnie tak lekko-myślnie zwodzą, i to dziś jeszcze!

— Jakżeż jednak tego pani dokonasz? pochylając się ku niej piękna wdówka zapytała poufale. Przeproszę że robię to zapytanie ale i mnie idzie o prawdę. Jak więc pani dokonasz tak ważnego zadania?

— Czy możesz tu być jutro o tym samym czasie?

— Och! mogę.

— Przybądź zatem a dowiesz się wszystkiego.

— Czy mogę w czym być pomocną?

— Teraz jeszcze nie.

— A stryj mój?

— Może będzie potrzebnym, ale nie nadużywajmy cierpliwości mistress Delamayn. Przybądź pani jutro z pewnością.

Po oddaleniu się gości, chora znowu przymknęła powieki i dumiała nad tem jak, tu posłać po gospodynię karczmy w Craig Fernie, bez zwrócenia szczególnej na siebie uwagi i podejrzenia? Podjęła notatki, przejrzała i zadzwoniła.

— Hopkins! wyrzekła do wchodzącej, mistress Glenarm zdziwiła mnie nieco swojemi nowinami. Teraz jest mi znacznie lepiej, nawet zupełnie dobrze tak że mogę zająć się domem. Czy tam kto czego nie potrzebuje? Stangret? Ogrodnik?

— Właśnie szedł tu ogrodnik z rachunkiem, lecz mu powiedziałam że pani widzieć go nie możesz.

— Miałam jakiś do niego interes. Podaj mi notatki.

Hopkins podała żądane notatki.

— Otóż! odezwała się niby odzyskując pamięć, interes do żony jego a nie do ogrodnika, by z nią o gospodni w Craig Fernie pomówić, która drobiu odemnie kupić chciała. Czy w tych dniach nie była tu znowu?

— Nie, mylady.

— Zdaje mi się że niewłaściwie postąpiła, odstawiając jej nabycia kur których tak pragnęła. Lecz byłam wtedy jakoś zajęta.... Chciała podobno nabyć tych czarnych, hiszpańskich?

— Tak jest, mylady. Hiszpanskie są sławne na całą okolicę.

— A to trzeba jej dogodzić, nie mogę być nieużytką. Poślij zatem do niej natychmiast nie lubię nie na później odkładać, bo mogłabym znów zapomnieć. Niechaj przyjdzie jak tylko czas będzie miała po temu.

Hopkins wyszła, lady ułożyła się wygodnie na poduszkach, a na jej licu zaigrał znowu ten złowrogi, poprzednio widziany uśmiech złośliwego zadowolenia.

Przenikliwa Hopkins słusznie oceniła entuzjazm mistress Inchbare dla kur hiszpańskich, bo zaledwie dwie godziny ubiegły, a już gospodyni z Craig Fernie stanęła w Windygates. Zamiłowanie do chowu drobiu ma swoją wielce praktyczną i piękną stronę, zwłaszcza też w porównaniu z lubownictwem dla tabakierok, zgruchotanych skrzypców, marek pocztowych i t. p. Pani Inchbare była zapaloną amatorką kur różnej nazwy, o przeróżnych czubach i barwie pierzy. Za jaką popielatkę lub czubatkę poszłaby na koniec świata i to stanowiło dodatnią stronę jej przekornej natury.

Gdy lady Lundie dowiedział się o przybyciu interesantki uśmiechnęła się zlekka i kazała ją natychmiast wprowadzić. Mistress Inchbare wszedłszy pokłoniła się głęboko uszczęśliwiona, że ją zaprowadzono do przybytku pięknej pani.

— Siadaj, proszę! wymówiła lady Lundie z uprzejmością łaskawą, jestem chora, jak widzisz.

— Chora czy zdrowa, zawsze mylady pięknie wyglądasz — odrzekła hotelniczka pod wrażeniem eleganckich przyborów, jakimi stroją chorobę w sferach wyższego świata.

— Nie przyjmuję nikogo, ale chciała pomówić z panią, bom przypomniała sobie czego ode mnie przed niedawnym czasem, jako od dobrej zażądałaś sąsiadki.

— Och, mylady, pragnę z całego serca mieć w kurniku, swoim te czarne Hiszpanskie, jak je tu nazywają, i gdybym dostała dwie kury i koguta..

— Podaj mi tam ze sekretarki arkuszyk papieru i ołówkę.

Mistress Inchbare rozkaz spełniła. Lady Lundie napisała do zawiadowczyni drobiu i kartkę podała hotelniczce z najłaskawszym uśmiechem.

— Idź do żony ogrodnika, zgódź się z nią o cenę, i zabierz z sobą trzy sztuki jak żądasz.

Mistress Inchbare otworzyła usta, by gorąco wyrazić podziękę za tak niespodziewaną łaskę, gdy ją lady Lundie nagle zaskoczyła pytaniem.

— Jakże się tam powodzi w hotelu? Czy dużo miewasz gości?

— O, dosyć, dzięki Bogu.

— Miałas tam gości niedawno, znajomą mi osobę, panią.... w połowie przeszłego miesiąca.

— Mylady pamięta jej nazwisko?

— Silvester — wymówiła lady Lundie, po chwili walce wewnętrznej.

— Czyliżby to była ta sama... z torbą w ręku co mąż jej przybył we dwie godziny później.

— Niezawodnie ta sama.

— I to przyjacielka pani?

— Och nie! Pytam się tylko tak przez ciekawość.

— Prawdę powiedziawszy, mówiła dalej gospodyni z westchnieniem, kochania tam między nami nie było. Ucieszyłam się też gdy sobie poszła z Bogiem.

— Znam ją dobrze i to oddawna. Więc powiadasz że przyszła sama do hotelu, a potem dopiero mąż przybył do niej?

— Tak było, mylady, i nie byłabym jej przyjęła wcale, gdyby nie mąż.

— Zdaje mi się że go gdzieś widziałam, jak on wygląda, czy nie pamiętasz?

— Trochę za młody dla niej, ale ładny człowiek, średniego wzrostu, wysmukły, śniady, z czarnymi oczami i włosami gdyby u kuka. Miły, przyjemny bardzo, i nie też nie mam przeciwko niemu, tylko to, że nazajutrz rychło odjechał i zostawił mi jejmość na karku.

Rysopis zatem Arnolda Brinkwortha był ten sam, który sir Patrikowi przedtem udzieliła. Lady Lundie wszelako więcej z niego korzystać umiała.

— Czy nie miał pewnych nawyknień, jakie miewają żeglarze? — zapytała. I czy rozmawiając, nie igrał łańcuszkiem od zegarka?

— Och tak, tak! Zupełnie tak, mylady!

— Widziałam go podobno kiedyś, ale nie zatrzymuję pani dłużej, bo pewno pragniesz jak najprędzej zobaczyć się ze swoim drobiem. Idź więc pani i tak już nadużyłam pozwolenia doktora, żegnaj kochaną panią.

I tak wielka dama odprawiła gospodynię karczmy dowiedziawszy się od niej co jej było potrzebnem.

Ktoś inny przestałby zapewne na tem, ale macocha Bianki potrzebowała jeszcze innych faktów więcej szczegółowych, zwłaszcza mając w sir Patriku przeciwnika. Anna znikła z jej domu w czasie zabawy, w parę godzin później wyjechał Arnold Brinkworth do swojego dziedzictwa, gdzie tegoż dnia samego 14 sierpnia miał stanąć. Mąż Anny przybył za nią we dwie godziny do Craig Fernie, a nazajutrz rychło wyjechał. Potrzeba zatem było sprawdzić: czy Arnold Brinkworth czternastego czyli piętnastego dopiero do swojej przybył posiadłości.

Po chwilowym namyśle postanowiła do rządcy jego napisać z zapytaniem z ręcznie ułożonym, że np. w skutek żartobliwego zakładu z rodziną swoją wiedzieć to musi dokładnie. Nie zwlekając, w pół godziny list już był gotowy i rozkazała wysłać go natychmiast przez umyślnego. Poczem zażyła skuteczny odwar lawendowy, złożyła się jak najwygodniej do spoczynku i powiedziawszy sobie, że chrześcijańskiego dokonała obowiązku, zasnęła snem sprawiedliwych marząc o upokorzeniu dyplomatycznego sir Patrika, dumnej Bianki i marynarskiego gburą Arnolda.

W dzień następny różne spotkały Windygates niespodzianki. Poczta przybyła a nie przywiozła



odpowiedzi sir Patrika, co lady Lundie zapisała sobie dobrze w pamięci, by kiedyś mu za to wypłacić się z lichwą. Rządca tylko Arnolda odpowiedział natomiast na jej zapytanie, że master Arnold Brinkworth zawiadomił go listownie, że przybędzie czternastego sierpnia, a tymczasem przybył dopiero piętnastego. Rzecz zatem na niekorzyść Arnolda wyjaśniona została, skutkiem czego postanowiła, w razie nienadejścia dziś jeszcze listu od sir Patrika lub Bianki, udać się rannym pociągiem nazajutrz do Londynu, a ztamtąd do Ham Farm.

Trzecią dnia tego niespodzianką był dotkliwy zawód, który spotkał doktora. Przybywszy bowiem nadzwyczajnego doznał zdumienia, iż odwar jego lawendowy od razu chorą uzdrowił. Chodziła, uśmiechała się, była pięknie ubrana a nadto wybierała się w podróż. Doktor wielkie na to wszystko zrobił oczy i pokręcił głową dumny z trafności użytych leków.

— Znagła mnie obowiązek do wyjazdu, rzekła z lekkim westchnieniem poświęcając się na ofiarę męczennicy, czynię wielkie wysilenie, ale pojechać muszę choć wiem że to przyplączę zdrowiem.

— Nauka nasza—ozwał się na to Eskulap poufnie, jest czasami zdumiewająca, ale jak w tym wypadku trudno wyrzec co jest lepszym: czy zatrzymać tu panią a ztąd niepokojem rozdrażnić bardziej jeszcze już tak rozstrojone nerwy; czyli też pozwolić, byś mylady naraziła się na trudy podróży. Z usposobieniem jednak swoim nerwowem, to może i lepiej będzie, że pani pojedziesz. Strzeż się tylko mylady przewiewu powietrza, i każ okno zamknąć od strony wiatru. Zachowaj pani umysł spokojny, pogodny a lekarstwo każ powtórzyć zaraz i zabierz je z sobą.

Ostatnim wreszcie wypadkiem było przybycie mistress Glenarm.

— A co? Czy są nowiny? zapytała zaraz po powitaniu.

Opowiedzenie wszystkich zebranych szczegółów przez panią domu i oznajmienie co uczynić postanowiła, wielkie na mistress Glenarm wywarło wrażenie.

— Więc pani jutro w sobotę jedziesz do Londynu? zapytała, i ja także pojedę. Skoro bowiem ta kobieta oświadczyła że tam także jedzie, umieram z trwogi i niecierpliwości. Będzie tam i stryj mój w przyszłym tygodniu z powodu tych wyścigów pieszych.... Ale, ale, odebrałam wiadomość od mojego prawnika!

— Czy był znowu jaki anonim?

— List bezimienny do niego, w którym nieznanomy korespondent donosi, że cofa żądania swoje i Perth opuszcza. Radzi mi zatem obrońca prawa, by stryj już więcej z tego względu nie opłacał policy londyńskiej. Wiadomość tę przestałam mu zaraz, i zapewne swój przyjazd do Londynu przyspieszy. Ale cóż kochana pani myślisz uczynić dalej?

— Mam drogę wytkniętą — odrzekła lady Lundie spokojnie. Sir Patrik będzie miał wiadomość ode mnie w przyszłą niedzielę.

— Więc pani mu napiszesz, że wykryło się wszystko?

— Bynajmniej! Doniosę mu tylko, że mnie interes do Londynu powołał, i że w poniedziałek odwiedzę go w Ham Farm.

— Sądzę że panią chętnie przyjmie?

— Bezwątpienia! Nienawisć jego do tego nie doszła stopnia, ażeby dla wdowy brata swojego drzwi chciał zamykać.

— I jakże pani tam sobie postąpi?

— Och wiem, moja droga, że mnie tam otoczy atmosfera kłamstwa i zdrady, lecz dla dobra tego biednego dziecka muszę narazić się na wszystko.

To też jednego nie wyrzeknę słowa, dopóki Biance w cztery oczy poprzednio całej nie opowiem sprawy. Będzie to strasznym dla mnie, ale otwierając jej oczy świętego dopełnię obowiązku. Arnold i sir Patrik znajdą we mnie przeciwnika innego, aniżeli tę młodą, niedoświadczoną istotę.

Na tém skończyła chrześcijańska niewiasta, mistress Glenarm powstała ażeby ją pożegnać.

— Więc spotkamy się jutro na dworcu kolei żelaznej?

— Najniezawodniej!

## SCENA JEDENASTA.

### Dom sir Patrika.

#### XLV.

— Nie mogę temu wierzyć i nie chcę! Pragniesz mnie pani oderwać od Arnolda i od mojej kochanej Anny! To jest niegodnie! O moja głowa, moja głowa! Chyba zmysły postradam! — wołała Biana blada, z dzikiem spojrzeniem, z włosiem rozwianym i przyciskając dłońmi skronie, przebiegała pokój jakby obłąkana.

Lady Lundie dopełniła pobożnej pielgrzymki i całą wypowiedziała jej prawdę... w kłamstwo przybrała. Poczem usiadła przy oknie i spokojnie spoglądała na łąki, pola i lasy, które cichą Ham Farm otaczały okolicę.

— Spodziewałam się tego wybuchu, odezwała się po chwili strojąc się w udany smutek, ulży on wszelako boleści twego serca moje drogie dziecko.

— Myśmy nie lubili się nigdy! odrzekła Biana zatrzymując się przed macochą i mierzając ją przenikliwym spojrzeniem. Napisałam ztąd do pani po powrocie, Anny broniłam zawsze, i okazywałam otwarcie może nawet za szorstko, że chętnie idę za mężem by pozbyć się opieki pani. A teraz mścisz się za to na mnie!

— Och Bianco, Bianco, co też ty gadasz! Mogę się tylko modlić za ciebie, ale mścić się na tobie za co i dla czego?

— Jestem szalona, pani mówisz z warjatką! Przed dwoma tygodniami był ślub nasz dopiero, Arnolda kocham i Annę całem także kocham sercem. Pamiętaj na to coś powiedziała, pamiętaj! Wyraz ten ostatni z głośnym powtórzyła krzykiem, i biegając bez wytchnienia, to załamywała dłonie, to niemi przyciskała czoło.

— Ależ zrobiłam to jedynie dla własnego twego dobra kochana moja Bianco, nie odpychaj mnie, nie spotwarzaj, bo jestem twoją jedyną przyjaciółką. Sama to kiedyś przynasz, choć dziś tak jesteś oburzoną. Spójrz mi w serce, a ujrzysz jak serce to krwawi się przez miłość dla ciebie.

Biana nie zważała na te wyrazy, własnymi zajęta myślami.

— Jesteś pani religijną kobietą — wymówiła nagle — zatem przysięgnij mi na biblię swoją, że wszystko jest prawdą co powiedziałaś mi teraz.

— Na biblię moją? Och dziecko drogie jest ona także i świętem dla ciebie dziedzictwem!

— Więc nie możesz pani przysiąc? zawołała Biana, dość mi na tem! — i odwróciła się nagle ażeby wyjść z pokoju.

Lady Lundie przytrzymała ją wszelako i niewiasta cierpiąca, łagodna, przemieniła się nagle w nieubłaganą.

— Przekonam cię niezbitemi niczem dowodami!

krzyknęła. Nie wierzysz słowom moim, więc uwierzysz faktom łatwym do sprawdzenia.

Bianka zdrząła i wyrwała jej rękę. Twarz macochy jakąś straszną wyrażała pewność.

— I gdzie te dowody, jakie fakta? zapytała drżącym od cierpienia głosem.

— Przekonasz się a nasamprzód powiedz mi prawdę, czy sir Patrik rzeczywiście wyjechał?

— Wyjechał rzeczywiście za interesem. Pani przyjechałaś niespodzianie, bo miałaś dopiero późniejszym przyjechać pociągiem.

— Kiedyż ten późniejszy przybywa? Teraz jest jedenasta.

— Przybywa między pierwszą a drugą.

— Czyliż sir Patrik wróci tymczasem?

— Nie.

— A master Brinkworth?

— Mąż mój?

— Mąż twój? niechże i tak będzie, mąż więc twój gdzie się znajduje obecnie?

— Jest w pokoju do palenia tytoniu przeznaczonym.

— Chodź więc ze mną na dół!

Bianka posunęła się ale natychmiast przystanąła nagłym przejętą wstrętem.

— Czegoż pani chcesz ode mnie? zapytała.

— Czyliż nie pojmujesz że nas interes jest wspólnym? Mówiłam ci przecie....

— Nie powtarzaj pani tego co mówiłaś!

— Muszę mówić! Arnold Brinkworth był w Craig Fernie razem z Anną Silvester jako mąż jej, gdyśmy sądzili że pojechał do dziedzictwa swojego. Nie wierzysz, bo to zanadto dla ciebie bolesne, ale czyliż nie powinnaś wiedzieć całej prawdy, choćby najboleśniej-szej?

Bianka drżała jak listek i nic nie odrzekła, głos zamarł biedaczce w piersi.

— Pójdę do ogrodu, stanę przy oknie pokoju w którym bawi master Brinkworth i rozmówię się z nim. Czy masz odwagę pójść ze mną, stanąć z boku i posłuchać całej naszej rozmowy?

— Gdybym wierzyła że Arnold jest występny, nie miałabym tej odwagi. Ale on jest niewinnym, więc idźmy, prowadź mnie pani!

Wyszedszy z pokoju Bianki, lady Lundie przystanąła w sieni i zaczęła przeglądać wykaz przychodzących i odchodzących pociągów.

— Przychodzi pociąg jakiś o kwadrans na pierwszą wymówiła. Jakżeż długo potrzeba czasu by dojść na stację?

— Dla czegoż pani o to pytasz?

— Dowiesz się, ale odpowiedz pierwój na moje pytanie.

— Potrzeba najwięcej minut dwadzieścia.

— Dość więc będzie czasu a teraz chodź do ogrodu.

Pokój przeznaczony do palenia tytoniu był w prawym szczycie domu, z oknem szerokim, wypukłym, wychodzącym na ogród. Lady Lundie obróciła się i wskazała Biance by za węglem domu stanęła, a sama przystąpiła do okna.

— Ach lady Lundie! zawołał Arnold ujrzawszy macochę, sądziliśmy że pani dopiero na drugie przybędziesz śniadanie.

— Mogłam wcześniej z Londynu wyjechać aniżeli sądziłam i dla tego prędzej przybyłam jak zapowiedziałam. Ale nie rzucaj pan cygara i zostań gdzie jesteś. Zatrzymam się chwilę tylko.

— Czy pani widziałaś już Biankę?

— Bianka nadejdzie zaraz, bo przejdziemy się trochę po ogrodzie. Mamy niejedno do mówienia z sobą, ale i panu mam coś powiedzieć.

— Czy coś istotnie ważnego?



— T bardzo panie Anoldzie.

— Czy to mnie dotyczy?

— Tak jest. Dowiedziałam się, że zatrzymałeś się w Craig Fernie wtedy, gdy u mnie była zabawa w Windygates.

— Boże! Zkądże pani wiesz o tem?

— Wiem, że tam spotkałeś Annę Silvester i że mówią o was, że jesteście sobie poślubieni.

— Nie tak głośno, na Boga! odezwał się Arnold z przestrachem spoglądając wkoło, mógłby kto posłyszeć...

— To i cóż z tego? Wszyscy przecie wiedzą już o tem, dla mnie tylko jedną była to tajemnica.

— Bianka nie wie jeszcze o tem nieszczęśliwym wydarzeniu.

— Jakto? więc ani pana ni też sir Patrik nie powiedzieliście jej o strasznym położeniu rzeczy, w jakie samowolnie wplątałyście się?

— Sir Patrik mnie to pozostawił a ja nie miał odwagi wyznać wszystko Biance. Na Boga! nie mówię pani i słówka jednego. Miss Silvester przybędzie tu jutro, i lepiej że ona opowie jej wszystko. Sir Patrik przystał na to, dla mnie byłoby prawie niepodobieństwem. Jeszcze proszę o chwilę rozmowy...

— Bianka szuka mnie w ogrodzie, więc.....

— Jeszcze słówko, chciałbym wiedzieć....

— Później, później!

Lady Lundie zniknęła za węglem domu.

— A co, Bianco? zapytała — czy wierzysz żem ci prawdę wyznała? Bianka stała z oczami zasłoniętymi, łkając cichym przyłumionym płaczem. Po chwili odjęła ręce z oczów i zwracając się do macochy, rzekła:

— Mam nadzieję, że pani tyle jesteś miłosierną, że mnie z sobą zabierzesz?

— Dziecko moje przewidziałam to i dla tego właśnie wykaz pociągów przejrzała. Chodź moja biedna Bianco, nie możesz tu i jednej chwili dłużej pozostać.

# XLVI.

— Po rozmowie z lady Lundie, Arnold osłupiał przez chwilę rozmyślał: zkąd macocha tak dokładną o wszystkim wiadomość powzięła? Potem wziął kapelusz i pobiegł w stronę ulubionej przechadzki Bianki, bo chociaż nie przypuszczał aby lady Lundie chciała Biance wszystko wyznać, to jednakże uznał za właściwe, być ich spotkaniu obecnym. Poszukiwania jednak wszelkie były daremne, Bianki nigdzie nie mógł spotkać. Zmęczony postanowił poczekać na nią w pokoju i przechadzając się po nim niespokojnie przypominał sobie, że sir Patrik wczoraj wyraził obawę, iż może źle zrobił że na list lady Lundie nie odpowiedział. Mogłaby się dodać, że kadina o wszystkim dowiedzieć, a wpływ jej na Biankę stałby się bardzo niebezpiecznym.

Zaniepokojony, po raz drugi wziął kapelusz i wybiegł do ogrodu, zapytywał służby ale nikt nie o nich nie wiedział. Spojrzał na zegarek, zbliżała się chwila w której sir Patrik miał powrócić. Przypuszczał, że panie inną może obrały drogę i są już w domu, zawrócił więc szybko, przebiegł wszystkie pokoje, poszedł na górę do pokoju Bianki, ale i tam nie było nikogo. Już miał wyjść z pustego mieszkania gdy spostrzegł list na dywanie. Podniósł go: był podpisany do niego. Poznał na nim rękę Bianki. Rozerwał go szybko i przeczytał:

„Znam straszną tajemnicę, którą ze stryjem ukrywałyście przede mną. Znam twoją niegodziwość i jej niecnotę, jako też nieszczęsne położenie z winy twojej. Wyrzutów nie czynię ci żadnych,

bo i na cóżby się przydały w obec takiego jak ty człowieka? Oddałam się pod opieką macochy i jadę z nią do Londynu. Nie goń za mną na próżno. Prawo wykryje czyli mnie z tobą śluby wiążą lub nie. Co do mnie, wiem dosyć. Oddałam się na zawsze i nie zobaczysz mnie prawdopodobnie już nigdy.

Bianka.”

Arnold zbiegł ze wschodów jak szalony, pragnąc jak najprędzej za żoną pogonić. Biegąc tak prawie nieprzytomny, wpadł na sir Patrika podejmującego listy i bilety wizytowe, które z sieni złożone były na stole. Trzymał właśnie list otwarty i odgadłszy co zaszło, objął Arnolda rękoma i wyrzekł:

— Jesteś mężczyzną i znos po mężku wszystko co cię dotyka.

Arnold rzucił się w objęcia starego przyjaciela i wybuchnął głośnym płaczem. Sir Patrik dozwolił mu tej ulgi i w milczeniu przytulił rozżalonego młodzieńca do piersi. List który czytał był od lady Lundie.

— Wstyd mi przed samym sobą, odezwał się Arnold po chwili, ale co cierpię.... co cierpię.... puść mnie stryju....

— Jesteś w błędzie mój kochany, odrzekł sir Patrik, bo łyż takie wstydu nie przynoszą. Cóżbyś jednak zrobił, gdybym cię wypuścił prawie szalejącego?

— Muszę widzieć Biankę!

— Przeczytaj! a poznasz że to daremne, bo twoja Bianka jest przy tej kobiecie. Słuchaj co pisze.

„Drogi sir Patriku! Gdybyś mi był na list mój raczył odpowiedzieć, byłabym pierwój zniosła się z panem, zanimbym Biankę wyrwała z tego położenia strasznego, w które ją wtrącił master Brinkworth! Dziecko jedyne twojego brata, zostanie teraz pod opieką moją w Londynie. Jeżeli chcesz użyć powagi swojej i odebrać Biankę, to musisz tego z pomocą zbrojną dokonać bo inaczej nie zezwolę na to. Jeżeli zaś master Brinkworth ze swoim zechce wystąpić prawem, to winien je w obec policji udowodnić.

Zawsze szczerze oddana

Julja Lundie.”

— Co mi to wszystko znaczy! zawołał Arnold rozpaczliwie, na nic nie zważam, chcę tylko zobaczyć się z żoną moją i oczyścić z tego okropnego zarzutu! Czytałem list do stryja pisany, a teraz przeczytaj co Bianka napisała do mnie.

Sir Patrik przeczytał i wrodzonym rozsądkiem umiał go należycie ocenić.

— Żona twoja za list swój nie odpowiada weale, odrzekł, a sam sobie ubliżyłbyś, gdybyś chciał bronić się od podobnych zarzutów. Masz swoje własne widzenie rzeczy, więc napisz do niej, a choć widzieć się z tobą nie zechce może, ale twój list odbierze. Bezemnie ztąd nie odjedziesz, pozwalam ci napisać i dosyć na tem. Bądź powolnym dla mnie młodzieńcze, przyrzekam że jak Bóg Bogiem, tak cię z Bianką pogodzę. Czyliż mi nie ufasz?

— Ach! stryju, czyż zdołam słowami wyrazić wdzięczność jaką cały dla ciebie jestem przejęty?

— A teraz siadaj i pisz, mówił dalej stryj pocziwy, ulżyj boleści duszy, bo chcę cię widzieć spokojnym i rozsądnym jak przystoi na męża tak zacnej kobiety.

W pół godziny potem list już był napisany, a biedny Arnold czuł się znacznie spokojniejszym jak poprzednio.

— Z listem twoim za pół godziny pojedę sam do Londynu.

— Stryj przecie weźmiesz mnie z sobą!

— Nie, dziś jeszcze nie. Powrócę przed wieczorem na obiad, opowiem ci wszystko co zrobiłem a jutro dopiero rano pojedzie z tobą. Po ciosie odebranym potrzeba ażebyś przyszedł do siebie i większego nabrał spokoju. Polegaj na mnie we wszystkim, Bianka list twój z pewnością odbierze bo użyję w obec macochy całej powagi, bez żadnego na nią względu. Poszanowanie moje dla płci niewieściej istnieje, dopóki płęć ta zasługuje na szacunek. Lady Lundie postradała go zupełnie, dla tego w obec pani bratowej jestem przygotowanym na wszystko.

O godzinie siódmej stół do obiadu nakryto i sir Patrik stawiał się z powrotem z Londynu spokojny jak zwykle, jakby wypadki nie miały miejsca któreśmy opowiedzieli.

— Odebrała list twój — poszepnął Arnoldowi i ująwszy go pod rękę poprowadził do stołu.

— I cóż powiedziała biedna Bianka? zapytał Arnold niespokojnie.

— Nic.

— Jakżeż wygląda biedaczka?

— Zmartwiona bardzo i żałuje mocno tego co dopuściła.

— Wyznaję mój stryju, że miałem nadzieję, że stryj Biankę przywiezie z sobą.

— Widać że zapomniałeś o wrodzonym uporze kobiet. Bianka czuje że źle zrobiła lecz przyznać się nie chce do tego. Zostawmy więc ją w spokoju, ale nie w tem trudność największa. Dotyczy ona nas obudwóch a wszystko krzyżuje się fatalnie. Trudność ta w tem spoczywa, że nie mogę z prawem swoim jako opiekun Bianki wystąpić, skoro istnieje twierdzenie, że ona jest zamężną. Ty znowu nie możesz ze swoim małżeńskim dopóty odzywać się prawem, dopóki nie udowodnisz, że nie jesteś mężem Anny Silvester. Lady Lundie znała to dobrze, zabierając ztąd Biankę. Wybadała wprzód gospodynię z Craig Fernie, zapytała twojego rządcy kiedy do domu przybył, uczyniła wszystko i wszystko przewidziała, tylko się na mnie omyliła, sądząc że Patrika w pole wywiedzie. Ho! ho! nie tak to łatwo jak się zdaje i nazwałbym się podwójnym niedołęgą, gdyby mnie chytróść złej kobiety pobiła.

— Miej jednak litość nad moją trwogą, kochany stryju i powiedz, co czynić zamierzasz?

— Zabiorę cię jutro do Londynu, ale musisz mi dać słowo honoru, że się nie będziesz starał zobaczyć ze swoją żoną, aż dopiero w sobotę po wyścigach.

— Daję słowo odrzekł Arnold bo ci stryju ufam najzupełniej. Rządź mną jak ci się podoba. Ale cóż jutro pocniemy w Londynie?

— Jutro jest dzień nader ważny i wtorek. I jutro miss Silvester zobaczę.

— Po tem co zaszło, odezwał się Arnold z niechęcią nie mogę jej nazwiska bez drżenia posłyszeć. Ona to rozłączyła mnie z Bianką!

— Nagrodi to, bo z nią połączy cię znowu.

— Zgubą stała się dla mnie!

— Ale i zbawić może.

— Daj Boże! — ale stryju kochany na miłość Boga! powiedz mi wszystko co zaszło u lady Lundie.

(d. c. n.)



Dalszy ciąg opisu N. 18.

N. 22—23. Ubranie z podwójną spódnicą.  
Krój na dodatku N. III Fig. 8—12.

Kostium ten z popielatej wełnianej tkaniny, ubrany materją, tego samego cieniu, ma prócz gładkiej spódnicy, podpinaną tunikę, stanik z karoczek i wykładanym mankietem, wszystko ubierane riaszami, kokardami i pliskami. Szerokie na 1 cent. pliski opatrzone sznurkiem, ubierają popielatemi jedwabnymi guzikami i paskiem przyozdobiony stanik, aż do obydwóch w bokach wypadających rozporców. Przy pliskach aż do stanu dochodząca riasza, ze sznurkiem na prawą stronę, podwójnym 4 cent. szeroka, zwęża się do 1 i pół cent. Rodzaj szarfy z popielatej materji wymaga 150 cent. długiego, a 20 cent. szerokiego kawałka, zeszytego. Po stronie łokcia otwarty wykład mankietowy, pokrywa 13 cent. szer. a 48 cent. długa ukośna falbanka, z podwójnie złożonym 3 cent. wysokim nagłówkiem. Karoczek przedni oszywa się również z frendzlą.

N. 24. Kostium „Fantaska” (Przód)  
Krój na dodatku N. I Fig. 1—4a.

N. 25. Krótki paltot z bokami (Przód)  
Krój N. IX. Fig. 29—33a.

Strój ten paletocik z jedwabnego rypsu czarnego, przybrany pliskami 2 c. szer. z wypustką atłasową bez sznurka, gładko obłożony gipiurą czarną, 10 cent. szeroka. Kontrafaldbowana gipiurka, pokrywa ukośny stojący kołnierzyk. W N. 19 Tyg. Mód podany paletocik z tyłu (ryc. 7) dla wykazania, że w samym stanie dają się pasmanteryjne agraftki z kwastami. Garnirunek 14 cent. szer. powtórzony na tunice i spódnicy, ładnie przystroić może kostium.

N. 26 i 9. Ubranie „Walentyń” z podpinaną tuniką.  
Krój N. VIII Fig. 26—28.

Jednokolorowa wełniana tkanina z garnirunkiem z materiału w atłasowe paski na pliski, rozetki i pasek, składa ładny kostium przedstawiony na ryc. 26 w N. 18 z przodu, a na ryc. 44 w N. 19 Tyg. Mód. z tyłu. Garnirunek, stanowią 5—18 cent. szer. ukośne falbanki, dopełnione 3 i pół cent. szeroką listwą, na co obie ryciny podają odrębne modele. Na ryc. 26 widzimy kolorową jedwabną listwę w ząbki wycinaną, naszytą gipiurą, rękaw odpowiedni przedstawia ryc. 44 w N. 19 Tyg. Mód. Falbanki spódnicy 15 i 18 cent. szerokie, ozdabia podobna 3 cent. szer. riasza. Stojący kołnierzyk obłożony materiałem w pasy uzupełnia kaftanik na guziki zapinany, z paskiem z listewek, zakończonym szarfą o trzech pękach i rozetce. Każden z pukli wymaga muslinem podbitego 12 c. szer. a 36 cent. długiego ukosu, zeszytego. Rozetka układa się w ślimak, z marszczonemu przez połowę 10 cent. szer. ukosu. Słomiany brązowy toczek, akksamitem obłożony, z gazowym welonem, oszytym jedwabną frendzelką dopełnia całości.

N. 27 i 12. Kostium „Semira”.  
Krój zobacz ryc. 16, 17 i 24.

Kostium jasny wełniany, naszyty pliskami, gipiurą i frendzlą. Dół spódnicy zdobi plisowana 21 cent. szeroka falbana, nad nią dwa razy dane po czwórnym pliski z gipiurą w miejsce nagłówka. Ryc. 12 podaje próbkę garnirunku plisowanego, z gipiurą. Tunika sporządzona na formie do ryc 16—17 wycina się u dołu w trzy głębokie zęby i podpiną w tyle i na bokach c.

długimi petelkami. Rękaw przykrawa się paletotowy, tylko u dołu rozszerza się do 50 cent. a przy łokciu kilkoma fałdami podpiną. Ryc. 15 w N. 19 Tyg. podaje go wykończony do powyższego kostiumu.

N. 28. Talma z kapturkiem wyszywana. (Przód).  
Krój N. XIII w dodatku.

N. 29. Płaszcz od deszczu z peleryną.  
Krój na dodatku N. II fig. 5—7.

Dodać winniśmy że płaszczyk powyższy z przypinaniem rękawami, ściągniętymi jak kieszonki gumelastyką, wymaga koniecznie peleryny, na którą każda talma, podać może formę. Przód kraje się podłużony podług Fig. I, plecy podług Fig. 5 kołnierzyk podług Fig. 6. Materjał daje się popielaty, brązowy, granatowy itp. nieprzemakający. Spódnice wyglądającą z pod płaszczyka ozdabiają dwie falbany z riaszą, podaną na ryc. 10. Pół szeroki rękaw z riaszą i kokardą; letni kaptur algierski, dopełnia podróżnego stroju.

N. 30. Płaszcz od deszczu z kaftanikiem dla dziewczynki.

Krój na dodatku N. XI fig. 36—40.

Płaszcz opatrzone kieszeniami, guzikami i paskiem jak wszystkie inne, otrzymuje przy wszyciu szerokiego rękawa i objęciu szyi kaftaniczek z tegoż popielatego materiału, którego długość oznaczona jest na fig. 36—37 punkcikami. Garnirunek stanowi pas ciemniejszy wrobiony i frendzla. Trzy guziki dane w tyle i na bokach wraz z petelkami z materiału, podpinają cały płaszczyk.

N. 31 Ubranie z podwójną spódnicą i baskiną kostium „Eliza.”

wystają podwójne żółte i ciemne wypustki. Na staniku dany jest garnirunek podłużnie, a wkoło szyi w rodzaju kołnierza. Mankiet na rękawie sztywnym muslinem podbity 11 cent. długi, 31 cent. w górze 22 cent. u dołu szeroki; szarfa z kokardą uzupełnia kostium.

N. 32—37. Urządzenie firanek i portjer.

Deseń na sukno na dod. Fig. 48. Deseń irlandzkiej koronki Fig. 47.

Rycina objaśnia najlepiej sposób zawieszania firanek z kwastami, sznurami i frendzlą, zwracamy tylko uwagę na szlaki i wyszycia. Wełniana portjera dana jest w dwóch cieniach. Ryc. 34 podaje próbkę aplikowania sukna i szlaku na ryc. 32. Fig. 48 podaje deseń szlaku na portjerę, który można użyć również na meble, serwetę a nawet i dywan. Deseń trzeba przenieść na kanwę i dopiero krzyżykami wyszyć. Firanki muslinowe zdobią palmy z irlandzkiej koronki podane w naturalnej wielkości na Fig. 47. Koronkowe ścięgi zapełniają tło. Palmy koronkowe przydziergają się zwyczajnie. Muslinowe firanki, przytrzymują się kawałkiem koronki, podanej w próbce na ryc. 35, całość z węższymi końcami zajmując 45 c. długości.

N. 38—41. Bukiety atłaskowe jako szlaczek albo rzucik.

## Opis N. 19.

N. 1. Ubranie chłopczyka od 3 do 6 lat z bluzkowym kaftanikiem.

Krój na dodatku N. V fig. 15—16.

Krój obliczony jest mniej więcej na 6 lat. Ta sama forma majtek, skrócona o 12 cent. sfałdowana i opatrzona paskiem, służy także z odpowiednim staniczkiem, dla chłopczyka na lat 3. Obie połowy majtek zszywają się w tyle od *d* do *b* a następnie aż do litery *c*, z przodu otrzymują ukryte guziki i dziurki. Brzegi kieszeni bocznych wypadają ukryte i zaszyć na siebie pod paskiem majtek. Jeśli zaś przyszywa się staniczek do majtek to rozporoki kieszeniowe powinny być wolne, żeby stanik łatwo można przyszyć do przedniej połowy majtek. Stanik wspomniany zapinany w tyle, ma u dołu dziurki, odpowiadające guzikom paska majtek, na których się przypina.

N. 2. Ubranie z paletocikiem dla dziewczynki.

Zobacz krój do ryc. 9—10.

N. 3. Kaftanik dla małego dziecka.

Kaftanik z brązowego sukna z ząbkami ciemniejszymi, przystębnowanymi. Piękny odpowiedni garnirunek wycinany w ząbki z atłasową pliską, podaliśmy w N. 18 Tyg. Mód w naturalnej wielkości (ryc. 8).

N. 4. Ubranie z kaftanikiem dla chłopca od 5 do 8 lat.

Krój na dodatku N. V i VI fig. 15—20.

Kaftanik z letniego popielatego bukskinu, jak całe ubranie, ma przody dwoma rzędami guzików przybrane, na kamlotowej podszewce czarnej, plecy spięte patką jak szynel, niepotrzebują podszycia. Wykłady i stojący kołnierzyk czarnym akksamitem obłożone, dobrze odbijają przy sutasowym wyszyciu i czarnej taśmie. Równie pięknie wydaje się kolorowe sukno, odpowiednio wyszyte.



Ubrania dla dzieci.

N. 1. Ubranie z kaftanikiem w zęby dla chłopca od 3—6 lat. Krój na dodatku N. V. Fig. 15 do 16 N. VII Fig. 21—23.

N. 2. Ubranie z paletocikiem dla małej dziewczynki. Zobacz ryc. 15 w N. 18 Tyg. Mód.

N. 3. Kaftanik dla dziecka małego. Zobacz N. 8 w T. Mód N. 18.

N. 4. Ubranie z kaftanikiem dla chłopczyka od 5 do 8 lat. Krój na N. V—VI Fig. 15—20.

Żółtawy materiał kostiumu ubrany jest przy weinanych kaftaniku i z przodu otwartej tunice, pliskami muslinem podszytymi i brązową frendzlą do cieniu, po nad pliskami



## N. 5. Krótki paletot bez boków.

Krój na dod. N. X fig. 34 i 35.

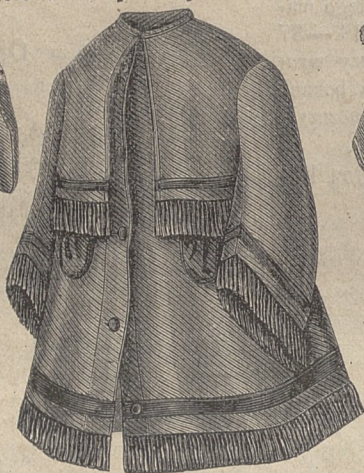
Model z czarnego jedwabnego rypsu, ogarniowany 1 i 2 cent. szeroką atlasową wypustką, opatrzonymi pliskami i 1 1/2 cent. szeroką pasmanterją, ma z przodu pod karką atlasem przybraną, szelkowy kołnierzyk i rękaw obszyty jedwabną frendzlą. Okrętką przyszyty szelkowy kołnierzyk złożony z dwóch ukośców 53 cent. długich na muslinowej podszewce, a 5 1/2 cent. szerokich zwięża się na 3 1/2 cent. na końcach, formując ząb w tyle. Z brzegu wystaje 1 cer., szeroka atlasowa wypustka i wełniana koroneczka. Kaftanik na



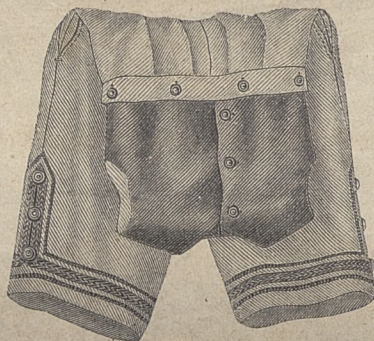
N. 5. Krótki paletot bez boków. Krój na dod. N. X Fig. 34 i 35. Oszycie ryc. 1 w N. 18.



N. 6 Krótki paletot z bokami sznurkiem wyszyty. Krój na dod. N. IX f. 29 do 33. Oszycie ryc. 2 w N. 18.



N. 8. Płaszczek z peleryną i kapturkiem.



N. 11. Płaszczek z kaftanikiem dla dziewczynki od 4 — 8 lat. Krój na dod. N. XI fig. 36—38. Zobacz ryc. 30 w N. 18 Tyg. Mód.

N. 13. Majtki ze stanikiem dla chłopca od 3 do 8 lat. Krój na dod. N. V Fig. 15—16.



N. 7. Krótki paltot z bokami koronką oszyty. Przód zobacz ryc. 25 w N. 18. Krój jak do ryc. 6.



N. 10. Kaftanik z przystembnowaniami ząbkami. Oszycie ryc. 7 w N. 18. Tyg. Mód.

przestembnowany. Wierz ch wycina się od stembnowki, atlasowa pliska uzupełnia garnunek; także lamowanie kołnierza i guziki. Wełniana kordonkowa frendzla otacza dół kaftanika.

N. 11. Płaszczek od deszczu z kaftanikiem.

Krój na dodatku N. XI.



N. 16. Tiunika z prostych brytów, w tyle układana w kontrafałdy.

du 48, z tyłu 57 cent. długiego.

N. 7. Krótki paletot z bokami.

Krój na dod. N. IX. Zobacz opis i ryc. 25 w zeszłym numerze Tyg.

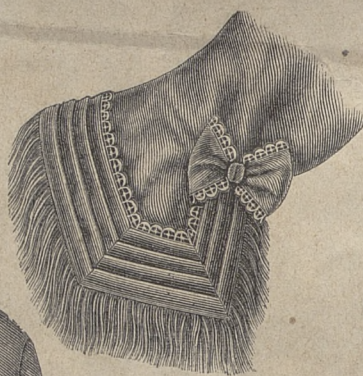


N. 19. Talma z kapturkiem wyszywana. Krój na dod. N. XIII fig. 43—44. Zobacz ryc. 28 w N. 18 Tyg.

N. 14. Rękaw do kostiumu ryc. 16 17 i 24 w N. 18 Tyg. Mód.



N. 18. Płaszczek podróżny. Krój na dodatku N. II Fig. 5—7.



N. 15. Rękaw do kostiumu ryc. 27 w N. 18 Tyg.



N. 20. Talma z kołnierzykiem z materjału wełnianego w kratkę.

N. 17. Tiunika w dwa liście Krój N. IV fig. 13 — 14 Siedm fał dó w. Garnunek ryc. 11 w N. 18 Tygodnika.

## N. 8. Płaszczek z kapturkiem.

Płaszczek ten zwyczajną formą, ma w tyle dość głęboką fałdę i wyszycie na pelerynie, zakończonej sznurem, falbanką lub frendzlą. Rękawów niema wcale.

## N. 9—10. Dwa kaftaniki dla dziewczynki.

Oba kaftaniki z odmiennego sukna, mają zupełnie prostą formę. Model ryc. 9 jasny sukieny w zęby wycięty, atlasem lamowany przytwierdza się atlasowymi jasnymi guzikami, na ciemniejszym pasie. Ryc. 10 przedstawia brązowy paletot jasno podbity i na maszynie



N. 12. Paltot dla chłopca.  
Zob. ryc. 4.

Model bez podszewki, popielaty lub granatowy, obkłada się brzo-  
gieni pąsowym, obstebnowanym su-  
nem, 2 cent. szerokiem. Stojący  
kołnierzyk i wykłady są pąsowe.  
Dwa rzędy guzików ubierają przody.

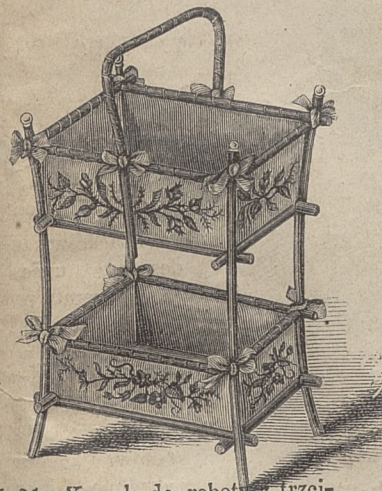
N. 13. Majtki ze staniczkiem dla chłopca od 3 do  
8 lat.

Krój na dodatku N. V.

N. 14—15. Dwa rękawy do kostiumów.

N. 16 — 17. Dwie tuniki.  
Krój na dodatku N. IV.

Łatwe bar-  
dzo zestawienie  
form objaśnia  
ryc. 17 garni-  
runek tuniki  
przedstawiony  
cokolwiek węż-  
szy na ryc. 11  
w N. 18 bardzo  
ozdobny, dany  
na całym jed-  
wabnym czy  
wełnianym ko-  
stiumie bardzo  
go przystroja.  
Przy wełnia-  
nych materia-  
łach, paśman-  
terję, zastępuje  
pliska naszyta  
sznurkiem szmu-  
klerskim, rusza



N. 21. Koszyk do roboty z trzcin-  
y i haftu kolorowego.

lub gipsurowe naszyte. Cały ten garnirunek 9 cent.  
zajmujący, z czarnego rypsu atłasem wypustkowany, skła-  
da 5 cent. szeroka falbanka, pliska 2 cent. szer. i 3 cent.  
szeroka sznurowa taśma. Jeśli garnirunek jest dwu-  
mieniowy, to taśma i wypustka powinny być jednako-  
we. Ukośny pas na falbankę, podstebnowywa się wy-  
pustką, kontrafałdy dają się 2 1/2 cent. szerokie, w od-  
stępach na 2 cent. pliski 1 cent. szerokie pokrywają od-  
stępy.

N. 18. Płaszczek podróżny.  
Krój na dodatku N. II.

Na rycinie 29 widzimy płaszczek podróżny w pra-  
ktycznem zastosowaniu, jako zabezpieczenie od zniszcze-  
nia każdego damskiego ubrania. Forma jego najzw-  
yczajniejsza; do podpinania używają się guziki.



N. 27. Pierwioski.

N. 19—20. Dwie  
talmy.

Krój na dodatku N. XIII.  
Krój kołnierzyka N. II Fig. 6.

Forma talmy dla każdego wzrostu i wieku  
pozostaje ta sama, różnica leży tylko w dłu-  
gości i zagłębieniu fałd na ramionach. Dla  
pań długość przodu, wynosi 73 cent., a tyłu  
90 cent. Dla dzieci noszona jako płasz-  
czyk pow. na być 20—30 cent. krótsza od

N. 29. Kielich  
kwiatka  
do ryc. 27.

N. 28. Kielich do kwia-  
tów ryc. 27.

N. 26. Wyszycie na aksamicie  
do ryc. 25.

N. 30. Forma li-  
ścia do ryc. 27 i 31.

N. 31. Krokusy. Zobacz ryc.  
30 i ryc. 32.

N. 24. Koszyk do ro-  
boty.

Deseń na dodatku Fig. 50.

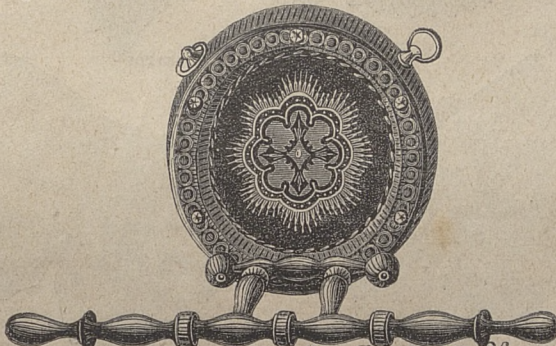
Podstawę koszyka stanowią trzcinki czar-  
no politurowane, cokolwiek wygięte, w sze-  
ścian ułożone i kościanymi gałeczkami ozdo-  
bione. Pudełeczko tekturowe 6 cent., wy-  
sokie zieloną materją wyłożone, ma z wierz-  
chu wyszyte na białem suknie, gałązki nie-



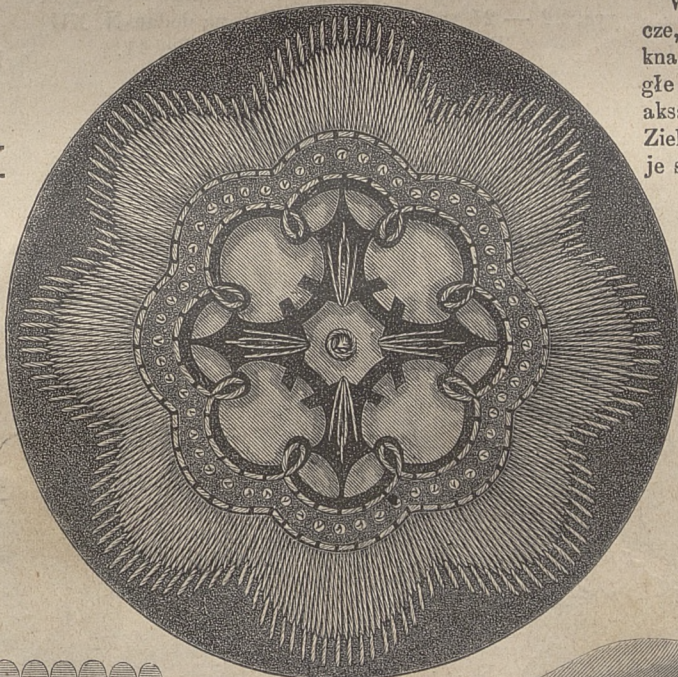
N. 22. Wykład-  
ków. Aplikacja  
jedwabiem.  
z zęby do koszycz-  
z aksamitu wyszyta



N. 23. Teka złotem haftowana. Deseń na dodatku  
Fig. 24—25. Zobacz ryc. 40 w N. 18 Tyg. Mód.



N. 25. Wieszadło do ręcznika. Zobacz ryc. 26.



N. 22. Wykład na mały koszyczek.

Wykład ten do koszyczka w którym się składają klu-  
cze, a' wierzchnie zęby drobno wycinane z białego su-  
kna, złotem i kolorowym jedwabiem wyszyte; dolne okrą-  
głe zęby z pąsowego sukna, ozdabia aplikowany czarny  
aksamit, przedziergany jasno i ciemno-żółtym jedwabiem.  
Zielono, szafirowo i złotem przerabiana gwiazdka zajmu-  
je środek aksamitu.

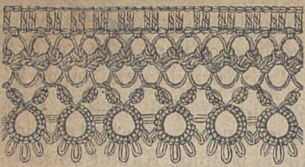
N. 23. Teka złotem haftowana.  
Deseń na dodatku fig. 24—25.



N. 32. Kielich  
krokusa  
ryc. 31.

N. 33. Poduszeczka do spinek. Deseń na dodatku.  
Fig. 49.





N. 34. Koronka z frywolitykami.

N. 25—26. Wieszadelko do ręcznika.

Materiał: uSkno, atlas i kordonek zielony, złote nici i sznurek. Ciemno bejcowany postument, dobrze odbija przy robocie w zielonych cieniach. Kłoro zastosować można także do obicia. Ryc. 26 przedstawia wyszycie w naturalnej wielkości. Rozeta wymaga wycinanego czarnego aksamitu, na kolorowym atlasie i ciemnym tle przytwierdzonego; złoty sznurek i jedwab służą do wyszycia tej roboty.

N. 27—32. Papierowe kwiaty.

Materiał: biały listowy papier, jedwabny papier złotawo-żółty, fioletowy, zielony, lila i biały; zielony glansowany; zielone woskowe kielichy, cienki drucik etc.

N. 27—30. Pierwiosnek.

Środek kwiatka stanowi podług ryc. 28 w ząbki wycinany 1 cent. szer. a 5 cent. długi zielony jedwabny pasek papierowy, który się drucikiem związa na środek podług ryc. 29 i okręca nitką. Na kwiatek trzeba trzech listków podług ryc. 30 skrajanych, które się wygina na dłoni, wiadomym sposobem, używając napastrka. Obłożysz listkami zielony środek obwiązuje się i przeciąga nitką przez zielony woskowy kielich, umieszczony na druciku zielono okręconym. Tak wykończone kwiaty, dopełnia się zielonymi liśćmi z glansowanego papieru, środkiem przerysowanymi.

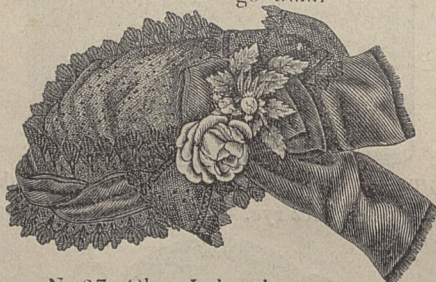
zapominajek. Pod spodem umieszczona biała sukienna poduszka do śpilek, z bukietem niezapominajek, podanym na Fig. 50. Riusze i kokardy z zielonej wstążki odpowiadają liściom bukietów.



N. 38. Kapelusz słomkowy dla dziewczynki.



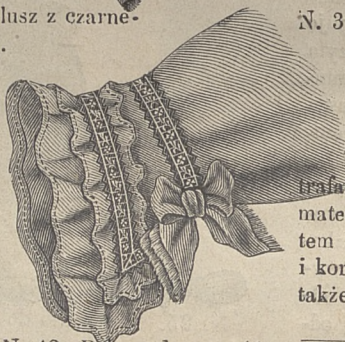
N. 36. Kapelusz wiązany pod brodą „Pamela“ z czarnego tiulu.



N. 37. Okrągły kapelusz z czarnego tiulu.



N. 40. Rękaw do kostiumu ryc. 22 — 25 w N. 18 Tyg. Mód.

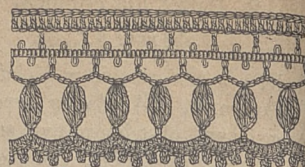


N. 42. Rękaw do ryc. 41 Krój na dodat. N. XII Fig. 41.

N. 31—32. Krokos.

Czerwona w o-  
żółtawe paski  
papieru, 3 cent.  
wysokie a 1 sze-  
rokie stanowi  
środek kwiatka.

Ryc. 32 wskazuje urządzenie jego. Przykrajane na formie ryc. 30 listki Krokosu mogą być żółte, lila, fioletowe lub białe, czasem żółtymi promieniami rozróżnione. Każdy listek powinien być nie naparstkami, ale drutem wyciskany na dłoni i zaokrąglony nieco. Zestawienie bukietu objaśnia rycina.



N. 35. Szydełkowa koronka.

N. 33. Poduszka do śpilek.

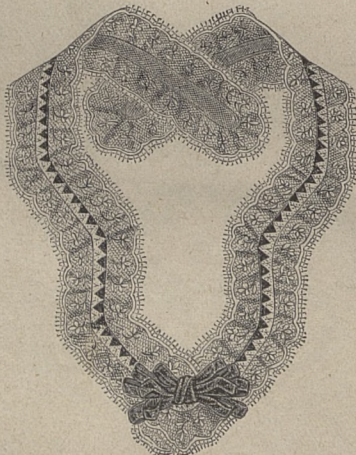
Deseń na dodatku Fig. 49.

Model przedstawia 9 cent. wysoką poduszczykę, wypchaną watą i obciągniętą perkalą na drewnianej deseczce umieszczonej i ceratą podklejoną. Całość składają ze sobą materji w dwóch kolorach, białą koronką oszytą. Spód stanowi kolorowa jedwabna falbana, w grube kontrafaldy układana na podszwecie. Poprzeczna kontrafaldy w odstępach 2 c. do poduszczyki przyczepiona, stanowi 6 podpięć między kontrafaldami. Wierzch potem płasko rozpięty, z tej samej materji co spód, wyszywa się w deseń kordonek i złotem podług Fig. 49, jest on również wycinany w ząbki i koronką oszyty. Z pod wierzchu, wystają ciemne zęby także z koronką dobrze odbijające od całości.

Dalszy ciąg opisu nastąpi w dodatku N. 20 Tygodniku Mód.



N. 44. Stanik z baskiną podpiętą. Przód ryc. 26 w N. 18 Tyg. Mód.



N. 41. Szmizetka koronkowa. Krój na dodat. N. XII. F. 40. Zob. ryc. 42 i 43.



N. 43. Szlaczek do szmizetki ryc. 41.



N. 45. Kaftanik z kłapkami. Zobacz ryc. 21 w N. 18 Tyg. Mód.



Fig. 24.

1	45
2	46
3	47
4	48
5	49
6	50
7	51
8	52
9	53
10	54
11	55
12	56
13	57
14	58
15	59
16	60
17	61
18	62
19	63
20	64
21	65
22	66
23	67
24	68
25	69
26	70
27	71
28	72
29	73
30	74
31	75
32	76
33	77
34	78
35	79
36	80
37	81
38	82
39	83
40	84
41	85
42	86
43	87
44	88

89
90
91
92
93
94
95
96



Fig. 2.



**Tygodnik M6d**  
w Warszawie 1871 r.  
Dodatek do N. 18 i 19.

N. I. Wierzchnie ubranie do kostiumu „Fantaska”. Rycina 10.  
Fig. 1. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 2. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 3. Zamek (A, B, C, D).  
Fig. 4. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 5. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 6. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 7. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 8. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 9. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 10. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 11. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 12. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 13. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 14. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 15. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 16. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 17. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 18. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 19. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 20. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 21. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 22. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 23. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 24. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 25. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 26. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 27. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 28. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 29. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 30. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 31. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 32. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 33. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 34. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 35. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 36. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 37. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 38. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 39. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 40. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 41. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 42. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 43. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 44. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 45. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 46. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 47. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 48. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 49. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 50. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 51. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 52. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 53. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 54. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 55. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 56. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 57. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 58. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 59. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 60. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 61. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 62. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 63. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 64. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 65. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 66. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 67. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 68. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 69. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 70. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 71. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 72. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 73. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 74. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 75. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 76. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 77. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 78. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 79. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 80. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 81. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 82. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 83. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 84. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 85. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 86. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 87. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 88. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 89. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 90. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 91. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 92. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 93. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 94. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 95. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 96. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 97. Polowa mankietu (A, B, C, D).  
Fig. 98. Pr6d (A, B, C, D).  
Fig. 99. Polowa pleców (A, B, C, D).  
Fig. 100. Polowa mankietu (A, B, C, D).



N. VIII. Stanik z podpiętym karoczek do kostiumu „Walentyński”.  
Rycina 26 i 44 oraz 42 w N. 19 Tyg. Mód.  
Miara stanika w polciach: 42 cent. szerokość stanika, 38 cent.  
długość stanika.  
Fig. 26. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 27. Dopelnienie karoczki z przodu (A, B, C).  
Fig. 28. Zamiastem stanika, 42 w N. 19 Tyg. Mód.  
Fig. 29. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 30. Zamiastem stanika, 42 w N. 19 Tyg. Mód.  
Fig. 31. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 32. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 33. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 34. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 35. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 36. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 37. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 38. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 39. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 40. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 41. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 42. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 43. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 44. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 45. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 46. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 47. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 48. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 49. Pród (A, B, C, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).  
Fig. 50. Polowa pleców z karoczek (B, D, E, F, G, H, I, J, K, L, M, N, O, P, Q, R, S, T, U, V, W, X, Y, Z).

Fig. 45.

Fig. 44.

Fig. 50.

Fig. 46.

Fig. 33.

Fig. 34.

Fig. 42.

Fig. 36.

Fig. 38.

Fig. 49.

Fig. 26.

Fig. 41.

Fig. 32.

Fig. 35.

Fig. 47.

Fig. 37.

Fig. 28.

Fig. 27.

Fig. 39.

Fig. 43.

Fig. 30.

Fig. 31.

Fig. 29.

Fig. 40.

Fig. 48.

Przedni brzeg pleców i palietka od dezeru (Fig. 50)

Brzeg przodu (Fig. 50)

Długość brzegu pleców od dezeru (Fig. 50)

Wykrojony dolny koniec rękawa (Fig. 50)

Długość brzegu pleców od dezeru (Fig. 50)

Pręgiem kołnierza szalowego (Fig. 50)

Środek przodu (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)

Środek pleców (Fig. 50)